

ZERYTHAR
PAMIĘĆ HEZURKAROI



HISTORIA
ZEPHYRA EURUSA
TOM III
J. M. JAZGARSKI

Zerythar: Pamięć
Hezurkaroi

Historia Zephyra Eurusa

Tom III

J. M. Jazgarski

Okładka: Magdalena Klipo

Redakcja: J. M. Jazgarski

© Wydawnictwo Memoro, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-980524-4-3

Wydanie pierwsze

Uwaga dla Czytelnika

Zerythar: Pamięć Hezurkaroi to książka dla dorosłych odbiorców. Zawiera sceny drastycznej przemocy, wulgarny język, motywy manipulacji psychicznej i cielesnej oraz opisy nagości i sytuacji intymnych.

Zalecana dla czytelników od 18. roku życia.

SPIS TREŚCI

PROLOG	I
AKT I	4
I	5
II	25
III	46
IV	77
V	97
VI	115
VII	134
VIII	158
IX	177
X	202
XI	219
AKT II	240
XII	241
XIII	263
XIV	282
XV	302
XVI	324
XVII	347
XVIII	368
XIX	390
XX	413
XXI	438
XXII	452

XXIII	471
XXIV	492
XXV	512
XXVI	535
AKT III	561
XXVII	562
XXVIII	584
XXIX	607
XXX	627
XXXI	652
XXXII	679
XXXIII	701
XXXIV	719
XXXV	738
XXXVI	755
XXXVII	767
XXXVIII	792
XXXIX	818
EPILOG	831
MAPY	837
GLOSARIUSZ	840
SPIS BOHATERÓW	859
PODZIĘKOWANIA	862
O AUTORZE	863
WIĘCEJ O ZERYTHAR	864

Ez gara bizi garena — Minaiz eta oroitz
gara, heriotzaren ondoren ere iraungo
dutenak.

PROLOG

Czwarty dzień pierwszego tygodnia Unumy roku dwieście dziewięćdziesiątego czwartego.

Dzień narodzin Zephyra Eurusa. Jego dwudzieste drugie urodziny.

Rocznica, która zdawała się ważna w życiu każdego człowieka. Każdej żywej istoty, która przychodzi na ten świat i która na nim świadomie trwa. Data początkująca każdą pojedynczą historię i stanowiąca stępkę dla każdej pamięci.

Sam Zephyr nie przykładał jednak do niej dużej wagi. Znał ją, bo musiał znać dla celów urzędowych, lecz nigdy jej szczególnie nie celebrował.

Pamiętał jedynie, jak jego rodzice starali się umilać mu ten dzień. Dawali wolne w cechu, kupowali słodkie bułeczki i pozwalali mu przesiadywać w Bibliotece Palatyńskiej do jej zamknięcia, gdy sami wracali do pracy po obiedzie.

Tak wyglądały niemalże wszystkie jego urodziny do piętnastego roku życia.

Również gdy wstąpił do *Unaro* w trakcie piątego *Tago de Śanĝo* roku dwieście osiemdziesiątego siódmego Ery Jedności. W dzień pozwalający każdemu mieszkańcowi Dwukontynentu stać się częścią wielkiego dzieła idei *Jedności*. Wówczas dowiedział się, że Wspólnota na swój sposób również celebrowe ten dzień.

Każdy *Unaristo* otrzymywał od swojego mistrza słowne życzenia i zwolnienie z posługi na „poszerzanie horyzontów

poznawczych”. Zephyr cenił te dni, bo mógł robić to, co niegdyś w Palatynum — poznawać historię świata Zerythar i Dwukontynentu oraz uczęszczać na wykłady w komórce *Arkivaroj* katedry w Urbo de Oriento.

W tamtym czasie należał do *Scivolaroj* — Ciekawości — jednostki odpowiedzialnej za odkrywanie świata na mapach i badanie nieznanego. Zephyr postrzegał badanie historii jako element swojej posługi: by móc szerzyć ideę Unaro na nieznanych lądach i podpierać się rzeczową wiedzą o powstaniu ich Wspólnoty. Nie należał jeszcze do *Virtaroj*, lecz traktował nauki historyczne i archeologiczne jako pokrewne tym badaniem przez inne komórki *Kuratoroj*.

W końcu wszystko ma swój początek... W końcu...

— W końcu się obudziłeś, drogi Zephyrze. Naprawdę długo spałeś... I zanim o cokolwiek spytasz, wiedz, że dziś czwarty dzień pierwszego tygodnia Unumy... Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Takie słowa przywitały go w dzień jego dwudziestych drugich urodzin, gdy ocknął się po zasadzce, w jaką wpadł razem z Yorin i Severianem w mieście Furukawa, raptem jeden dzień wcześniej.

Melodyjny głos jasnowłosej kobiety, która hipnotyzowała go spojrzeniem, dźwięczał, gdy leżał w najmniejszym łóżu, w jakim kiedykolwiek dane mu było spoczywać.

Jej delikatny uśmiech od razu go onieśmielił, mimo że jej nie znał. Żadne słowo nie było w stanie wydobyć się z ust Zephyra po tym, co usłyszał i zobaczył. Wpatrywał się w nią oszołomiony, nie mogąc pojąć, co dzieje się wokół niego.

Czuł kojący zapach kadzideł i słodycz, która pojawiła się, gdy poruszyła lekko głowę, składając mu urodzinowe życzenia — znany mu aromat, a jednocześnie odległy i obcy.

Myśli nie potrafiły ułożyć spójnej narracji...

Wpadliśmy w zasadzkę... w mieście Furukawa... zastawioną przez czarnych rycerzy...

Nadal tonął w głębi patrzących na niego popielatych oczu, w których delikatnie pulsowały dwie widoczne czarne obwódki — na tęczęwce i na jej środku.

Zostałem zaproszony... jako honorowy gość...

Ona nie ruszała się, jakby delektowała się jego przerażeniem, niedowierzaniem i ludzkim szokiem.

Yorin i Severian... uratowałem ich... i...

Uśmiech na jej twarzy się nie zmieniał i pozostawał tak samo troskliwy i ciepły.

Po uśpieniu... przeniesiono mnie... najpewniej na ich dwór...

Gdy ostatnia myśl spajała się w całość, ona mrugnęła, niemalże wytrącając go z rytmu własnego toku rozumowania.

Na dwór... Ludu Kościanych Twierdz...

Nie musiał nic mówić — jasnowłosa kobieta zdawała się wiedzieć, co pomyślał, i skwitowała to tylko szerszym ciepłym uśmiechem.

Tak wyglądał początek Zephyra na dworze ludu *Hezurkaroi*.

AKT I

I

Pewne opamiętanie przyszło z innego kąta pokoju, w którym znajdował się razem z jasnowłosą kobietą.

— Obudził się, Pani Siostró? — Znajomy ton głosiku, tym razem już nie w *uaento*, lecz w *hezari*, uderzył jego *involontaire* — nagle i bez ostrzeżenia. Dźwięki morza i krzyki marynarzy wróciły niczym żywe.

Podniósł się ostrożnie, spojrzął przed siebie, a potem w prawo za podporę baldachimu. Tam dostrzegł ją, Larethe Vezakar, dziesięcioletnią gapowiczkę z ich *eksplorŕipo Rememoro*, którym wspólnie płynęli na Zaihon. Bursztynowa spinka wciąż tkwiła w jej włosach, lecz fryzura przypominała teraz tę, którą miała siedząca obok kobieta.

Dziewczynka nosiła coś w rodzaju dworskiej sukni — uszytą z czarnej tkaniny, przeszywaną białymi nićmi. Na szyi połyskiwał łańcuszek z białego złota z osadzonym wisiorkiem z kościanym ornamentem.

W oczach Larethe nie pojawiły się łzy. Skoro minął już jeden dzień, odkąd się pojawił w tym miejscu, musiała oswoić się z widokiem przed swoimi oczami. Widokiem żywego Zephyra.

Podbiegła od drugiej strony łóża i wspięła się na wysokie posłanie. Przytuliła go za szyję, a on — bez namysłu — objął ją ramieniem.

Była ostatnią osobą, którą spodziewał się ujrzeć. Gdziekolwiek się właśnie znajdowali.

Przez cały ten czas zerkał na kobietę siedzącą obok. Nie poruszyła się ani na chwilę. Na jej twarzy tkwił sam uśmiech, ten sam wzrok — jakby czekała, aż sam coś powie.

— Jak? — spytał wreszcie Zephyr w hezari, kierując słowa do siedzącej obok kobiety.

— Moja słodka Larethe została uratowana tak samo jak wy wszyscy — odparła w tym samym języku. — Dzięki dobroci pobratymców Oliego. Rozpoznali w niej jedno z naszych dzieci, dlatego trafiła tutaj.

Zephyr przez krótką chwilę próbował pojąć, kim jest „Oli”. Szybko ułożył fakty. Taki podpis widniał w piśmie skradzionym z Sankyo. *A skoro wspomniała o Shinrinie Olorikaze z taką lekkością, musiała —*

Nie dokończył myśli. Na postanie wskoczyło niewielkie stworzenie o ognistym futrze i pręgowanym, puszystym ogonie, którego koniec przypominał wachlarz z płomieni zakończonych białymi refleksami. Uszy miało trójkątne, a oczy błyszczały jak wypolerowany bursztyn.

— Spokojnie, Suun. Daj naszemu gościowi jeszcze chwilę odpoczynku. Potem się z nim pobawisz. — Kobieta uśmiechnęła się cieplej, zerkając na pupila. Jej głos, mimo twardych spółgłosek hezari, brzmiał jak cicha melodia, którą łatwo było śledzić, a trudno przerwać.

Zwierzę podeszło bliżej niego i dziewczynki, po czym polizało ich po policzkach. Larethe zaśmiała się cicho i od razu przytuliła

futrzaka, chowając twarz w jego miękkim, miedziano-złotym futrze.

Zephyr usłyszał wtedy delikatne kroki — krótkie, rytmiczne uderzenia pazurów o kamień posadzki.

Z drugiej strony łóża podeszło drugie podobne, nieco większe stworzenie. Miało ciemniejsze, brunatnoczarne futro z przeblaskami szarości jak popiół w ogniu. Ogon był dłuższy i cięższy, przypominał segmentowane żebra, a oczy — mlecznobiałe, zapewne ślepe — zdawały się śledzić i tak każdy ruch.

— To jest Paar — odezwała się kobieta, po raz pierwszy zmieniając pozycję. Lewą ręką pogłaskała zwierzaka po karku i spytała po chwili, zerkając na swojego gościa:

— Wiesz, czym są czerwone pandy?

— Nawet nie wiedziałem, że to są pandy — odparł Zephyr, sam zdziwiony, jak uprzejmie to zabrzmiało i jak łatwo wszedł w rozmowę.

— To bardzo rzadkie ssaki. Te dwie dostałam na swoje dziesiąte urodziny. Symbolizują unikalność, cierpliwość i wytrwałość. Są moimi kochanymi pupilami i nie opuszczają mnie na krok od piętnastu lat.

Ostatnie słowa wypowiedziała z tym samym spojrzeniem co przy jego przebudzeniu — miękkim, lecz nieprzeniknionym.

Zephyr zmusił się do kalkulacji. Dwudziestopięciolatka. Rzadkie zwierzęta. „Pani siostra” z ust Larethe. Oli. Cała ta otoczka.

Już miał zadać pytanie, gdy kobieta nagle wstała — jakby ponownie wyczuła jego intencje. Przemówiła do dziewczynki nadal w hezari:

— Moja słodka Larethe. Tak jak rozmawialiśmy. Pomóż Zephyrowi dojść do siebie, odpowiednio przygotuj i przyjdź z nim do moich komnat. I pamiętaj...

Przyłożyła palce do ust i przekreśliła nimi przy wargach niczym zamkiem. Uśmiechnęła się łagodnie. Dziewczynka powtórzyła gest i rozpromieniła się.

Wtedy Zephyr dostrzegł jej całą sylwetkę. Dzięki cienkim szatom dało się zauważyć proporcje jej ciała — wysoka, o pół głowy wyższa od niego, smukła, pełna gracji i spokoju, który bardziej przypominał czujność niż łagodność. Poruszała się płynnie, jakby każdy ruch był częścią zaplanowanego rytuału. Włosy sięgały niemal do ud — proste, lśniące, z jednym czarnym pasmem przecięcia na lewej stronie.

Poczuł lekkie uklucie w głowie, gdy jej prawa dłoń objęła lewą. Dwa kościane pierścienie na palcu wskazującym i serdecznym, a także naszyjnik z nieznanym mu symbolem. Nie miał wątpliwości, czym była część jej biżuterii.

Odwróciła się, a końcówki włosów niemal nie drgnęły, zostając w miejscu. Dopiero gdy ruszyła, opadły z opóźnieniem, jak gdyby powietrze nie chciało jej dotknąć. Zapach jej słodkich perfum wypełnił przestrzeń mimo kadzidel.

Zephyr patrzył na to ponownie oszołomiony, dopóki ciepły język Suun nie musnął jego policzka. Stworzenie zeskoczyło z łóża i dołączyło do Paara.

Cała trójka — kobieta i oba zwierzęta — ruszyła w stronę drzwi. Te rozsunięto od zewnątrz, a czarna stalowa rękawica, która przytrzymała framugę, nie pozostawiała wątpliwości, że wyjście było obstawione przez znanych mu rycerzy.

Zephyr zdołał z siebie wydusić jedno pytanie:

— Czy jestem twoim więźniem?

Odwróciła głowę w jego stronę. Ruch był spokojny, zmysłowy, wykonany tylko po to, by dać mu nadzieję, że usłyszy prawdę. W świetle płynącym z korytarza jej oko błysnęło niczym kawałek szkliska.

— Honorowym gościem tego dworu, drogi Zephyrze. Myślałam, że tutejsi rycerze przekazali ci tę informację. Porozmawiamy dłużej przy posiłku. Na razie zrelaksuj się i rozkoszuj chwilą, a po niej na pewno przyjdzie oświecenie...

Odwróciła się powoli i wyszła. Drzwi zamknęły się za nią tą samą dłonią w stalowej rękawicy. Przez chwilę słychać było tylko rytmiczne kroki — metalowe trzewiki zbrojnych uderzające o kamień, jak i pazurki czerwonych pand — aż w końcu i one ucichły.

Czy to możliwe, że faktycznie nikt nie stał za drzwiami? Może nie kłamała?

Larethe zeskoczyła z posłania i ruszyła w stronę stolika stojącego w głębi pokoju.

Zephyr, wciąż siedząc na łóżku, rozejrzał się po otoczeniu. Całe pomieszczenie wydawało się wykończone czarnym marmurem. Ściana za jego plecami była niemal pusta — jedynie kandelabry

stojące na dwóch szafkach nocnych rozjaśniały mrok tej części pokoju migotliwym światłem. Na jednej z nich leżały jego trzy artefakty, co wyjaśniało, czemu dalej korzystał z mowy hezari. Przed nim płonęło drewno w kominku, dając ciepły, równy blask. Obok znajdował się okrągły stolik z wazą i kielichami, do którego zmierzała dziewczynka. Za nim umieszczono dużą, ciężką szafę.

Po lewej stronie stało misternie rzeźbione krzesło z tego samego ciemnego drewna co łóże. Po prawej — wysokie okna zasłonięte ciężkimi czarnymi kotarami, przez których wąskie szpary wdzierało się mleczne światło dnia. Przed nimi znajdował się długi stół z kadzielnicami, które dalej tliły się gęstym dymem.

W skrajnym rogu sali połyskiwała czarna tafla fortepianu. Na podłodze, po obu stronach łóżka i na środku komnaty, leżały czerwono-czarne dywany z barwionej wełny, utkane w gęsty, spiralny wzór przypominający splątane korzenie.

Zephyr przemówił do dziewczynki już w uamento:

— Rozumiem, że nic mi nie powiesz — zważywszy na ten gest kłódki na ustach?

— Pani Siostra chce ci wszystko sama opowiedzieć — odparła radośnie. Przystanąła przy stoliku, wzięła karafkę i nalała płyn do srebrnego kielicha. Potem ostrożnie podeszła do łóżka, niosąc napój w obu dłoniach.

— Wszystkiego najlepszego! — krzyknęła z radością, a on uśmiechnął się niepewnie. Wykonała lekki ukłon i wystawiła kielich w jego stronę.

Wziął go od niej ostrożnie, bojąc się, że jakoś zniszczy ten moment. Patrzył w kielichu na swoje odbicie i zieleni własnych

oczu. Gęste, ciemne wino rozjarzało się rubinowo w świetle świec. Upijając łyk, poczuł, że jego oczy rozjaśniają się mimowolnie. Nigdy nie pił niczego lepszego.

Entuzjazm dziewczynki nagle zgaśł. Spojrzała w dół, jakby coś sobie przypomniwała.

— Czy ten straszny cień dalej jest z tobą? — spytała cicho. — Bo nadal słyszę tego chłopca... Tylko teraz brzmi łagodniej.

Zephyr zamarł, trzymając kielich w dłoni.

— Już nie, Larethe — odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. — Dużo się wydarzyło przez te kilka miesięcy.

— Rozumiem — powiedziała szeptem. — Gdy spadaliśmy... a statek się rozpadał i widziałam go za tobą... Bałam się, że coś ci zrobi.

Zephyr zakrztusił się winem.

— Widziałas to?! — wyrwało mu się, a czerwony płyn rozlał się na dłoń i spłynął po palcach na posłanie.

Kiwnęła główką i po chwili znowu się rozpromieniła.

— Tak — odparła szybko. — Byłam też pewna, że go usłyszałam, kiedy cię tu ułożyli. Pani Siostra też mi mówiła, że już go przy tobie nie ma. Ale musiałam to usłyszeć od ciebie — dodała ciszej, jakby sama niepewna, czy powinna o to pytać.

— A czy... Isandra albo pan Sero przeżyli ten upadek? Anari? Pan Zerantas lub Vilhelm? Nawet ten niemiły marynarz? Ktokolwiek?

Zamilkła i spuściła wzrok, gdy nie odpowiedział jej od razu.

— Isandra, Anari i Dexion mają się dobrze — odpowiedział spokojnie, po czym spojrzał na posłanie i plamy wina. Mistrz

Erythros najpewniej nie przetrwał na morzu. Ostatnia nadzieja na jego ratunek przepadła wraz z jej smutkiem. Pamięć o reszcie towarzyszy ponownie uczcił w myśli.

Sam Zephyr jednocześnie zastanawiał się, co począć z tą sytuacją. Nie miał pojęcia, gdzie właściwie się znajduje. Na pewno gdzieś na północy, choć bramy łączyły cały Zaihon i rycerze mogli go przenieść gdziekolwiek.

Myśl o Yorin przemknęła przez jego głowę mimochodem. Miał nadzieję, że udało się jej i Severianowi wrócić do jaskini... lecz myśl natychmiast przeszła do obrazu całej kolonii w Gyo. *Na pewno będą skonsternowani, co robić. Poradzą sobie beze mnie, dopóki nie znajdę sposobu na opuszczenie tego miejsca.*

— To dobrze... — szepnęła przygaszona dziewczynka po dłuższej chwili, po czym ruszyła w stronę szafy. — Pani Siostra prosiła, żebyś się ubrał wygodnie na ucztę. Tutaj znajdziesz wszystkie ubrania. Ludzie Tirko zmierzyl cię, gdy spałeś, i przygotowali kilka strojów.

Patrzył na nią, wciąż trzymając kielich. Myślał, jak z nią rozmawiać, zanim nadejdzie ta „uczta”. Larethe musiała wiedzieć więcej niż mówiła. W końcu jawnie zostało to zamanifestowane i spędziła tu najpewniej cały swój pobyt na Zaihon.

Jego „gospodyni” rozpoznawała artefakty, mówiła o rzeczach, których normalna osoba nie mogła wiedzieć. O jej pozycji nie wspominając. Musiał się choćby jakkolwiek przygotować na to spotkanie.

W końcu spytał, przechodząc na hezari:

— Jak szybko nauczyłaś się tej mowy?

Dziewczynka, wyraźnie zaskoczona, że spytał ją w tym języku, odpowiedziała również w *hezari*, z twardszym akcentem niż jego gospodyni:

— W ponad miesiąc. Uczono mnie, odkąd się tu obudziłam. Bardzo łatwo mi się to udało. Jakbym знаła ten język od zawsze.
— Wskazała na niego palcem. — A ty czemu tak ładnie mówisz w *hezari*?

Zephyr sięgnął na szafkę nocną po przycisk do zwoju pamięci Munjo i odpowiedział łagodnie:

— Mam drobne wsparcie z tego artefaktu.

Po wskazaniu przedmiotów, Larethe powiedziała dumnie:

— Pani Siostra sama je tu położyła i kazała nikomu ich nie dotykać. Tylko tobie po wybudzeniu — odparła, opierając ręce na biodrach dla podkreślenia wagi tych słów.

Uznał to za kolejny dowód tego, że chyba faktycznie nie był więźniem. Zazwyczaj każdy próbowałby odebrać mu artefakty.

— *Pani Siostra* wydaje się bardzo miła — powiedział, zerkając na puste krzesło. Słowa zabrzmiały w jego ustach zbyt miękko, zbyt uległe. Nie spodziewał się tego tonu po sobie.

Nagle ukłucie niepokoju przeszło mu myśli. Zerknął na kadzidła — czy otumaniali go w ten sposób? *Nie, to nie mogło być to. Larethe nie wyglądała, jakby była pod wpływem czegokolwiek.*

Przerwała jego rozważania.

— Oczywiście! Tak miła jak ty, Isandra, Anari czy wasi mistrzowie — powiedziała z uśmiechem. — Gdy tylko się ocknęłam, od razu się mną zajęła i —

Urwała i zrobiła palcami ten sam gest zachowania sekretu — przekręcania klucza przy ustach.

Była czujna. Przecież każdy chwalił ją za bystrość jeszcze na statku — pomyślał Zephyr.

— Jak ci się tu w takim razie podoba? — Spróbował z innej strony.

— Bardzo! — odparła z zapalem i podbiegła do fortepianu. — Pani Siostra umie przepięknie grać. Ja też umiem, bo mój tata mnie uczył w Urbo de Oriento, ale ćwiczyłam też tutaj. Chcesz, żebym ci coś zagrała?

Kiwnął głową. Dziewczynka usiadła na stolku, ledwo dosięgając pedałów. Dźwięk rozlał się po pokoju lekką, nierówną melodią — zagrana z dziecięcą prędkością, pełną pauz i niepewnych tonów, a mimo to przypominającą kołysankę.

Zephyr zdjął z siebie okrycie i dopiero wtedy dostrzegł, że ma na sobie bordową, miękką dwuczęściową szatę nocną z cienkiego jedwabiu i delikatnie haftowaną przy mankietach. Trzymając kielich w dłoni, opuścił gołe stopy na kamienną posadzkę. Ta była ciepła, więc system grzewczy działał podobnie jak w pałacu w Gyo. Podszedł do kotary i lekko ją odsunął.

Larethe spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała — najwyraźniej mógł to uczynić.

Za wysokim oknem padał śnieg. Górskie szczyty znikwały w chmurach, a świat zdawał się otulony srebrem i zimową ciszą. Byli wysoko — powietrze wydawało się rzadsze, a światło jaśniejsze niż powinno.

Pod budynkiem i za jego placem wila się wąska ścieżka nad przepaścią, znikając wśród głazów, a niżej rozciągało się miasto wykute w kamieniu. Nie było duże — może wielkości połączonego Minkyo i Zbrojnego Kła w Pierwszej Stolicy — ale wyglądało niczym wyrastające z samej skały.

Dostrzegł jego znajome smukłe dymiące wieżyczki, na których mimo ciepła z ognisk wciąż odkładały się czapy śniegu. Dalej rys murów, które zdawały się nie mieć końca. Widok przypominał mu znajome miasta z Jagirskiej, a w szczególności jedno.

Nie miał już wątpliwości, a dręcząca go zagadka *niewyjaśnionych dziejów* została rozwiązana widokiem z okna — Urbo de Oriento na Dwukontynencie należało dawniej do Hezurkaroi.

Z myśli wyrwała go ponownie Larethe:

— Ładnie? — spytała z nadzieją w głosie.

— Bardzo. Dawno nie słyszałem dźwięku fortepianu — odparł Zephyr, odchodząc od zasłony. Postawił kielich na stole i dolał sobie wina.

Nagle rozległ się dźwięk przypominający gong, co sprawiło, że dziewczynka podbiegła do szafy niemal w tym samym momencie.

— Musimy się spieszyć — rzuciła, otwierając drzwi. — Pani Siostra najbardziej lubi czern i biel. Jeśli ubierzesz się w tych kolorach, na pewno będzie jej miło.

Zephyr odstawił kielich i spojrzal na rząd ubrań. Na drążkach wisiało kilkanaście kreacji, każda inna — jedne proste, inne ozdobione cienkimi pasami srebrnej lub złotej nici i kosztnymi naszywkami. Podrapał się po głowie, czując się nieswojo.

Od czasu, gdy opuścił Nikyo, nosił niemal wciąż te same zniszczone ubrania — cerowane i prane przez Hartulfa, Lykaïe, a potem najpewniej przez innych *Vivtenisój*. Nowe, które dostał od uciekinierów z katedry, leżały nietknięte w jego komnacie. Nie chciał ich zakładać, dopóki stare całkiem się nie rozpadną.

Rozejrzał się jeszcze po pokoju. Po jego dawnych rzeczach nie było śladu. Sam fakt, że miał coś „wybrać”, wydał mu się obcy.

We Wspólnocie, jak i w jego rodzinnym domu, ubiór nie był kwestią gustu, lecz funkcji. Każdy strój miał przypominać, kim jesteś i komu służysz. Szaty w dorosłości dobierano raz — potem tylko cerowano i czyszczono. Starsi przekazywali swoje niepasujące ubrania młodszym. Ewentualnie szyto nowe, jak stare się doszczętnie rozpadły. Tylko ludzie z wyższych sfer mogli pozwolić sobie na luksus wyboru.

Tkaniny rzadko pachniały nowością i świeżością, a te wyglądały faktycznie tak, jakby je przygotowano wczoraj wyłącznie dla niego.

Larethe znowu przerwała mu myśl. Stając na palcach, sięgnęła po skrzynkę z wyższej półki szafy i postawiła na stoliku.

— Jak już coś wybierzesz, tu masz perfumy — oznajmiła z dumą.

W środku znajdowały się małe flakoniki z grubego szkła, zamknięte ozdobnymi zatyczkami. Zephyr dostrzegł kilka nazw zapisanych cienkim pismem w hezari: *Aroka Maro* — zapach gorzkiego kwiatu, który podobno rośnie tylko nad morzem; *Luminai* — delikatny, z nutą popiołu i miodu; *Sennor* — cięższy, o woni drewna zroszonego piżmem.

Dziewczynka wskazała potem na dół szafy.

— Tu masz buty.

Następnie otworzyła szuflady.

— A tu bieliznę i pończochy — dodała, zerkając na niego tak poważnie, jakby sama miała co najmniej dwadzieścia pięć lat.

Po chwili zniknęła za szafą i po pokoju rozległo się szuranie przesuwanego drewna. Zephyr podszedł szybko, aby jej pomóc w tym, co robiła. Dziewczynka próbowała wysunąć parawan z płóciennymi skrzydłami, na których namalowano czarno-srebrne ptaki na białym tle.

— Wiem, co z tym zrobić. — Uśmiechnął się i pomógł jej go rozstawić.

— Pani Siostra najbardziej lubi męski Luminai — powiedziała, unosząc paluszek w stronę skrzynki. — Wyjdę, żebyś mógł się przebrać. Gdy skończysz, wyjdź na korytarz. I nie ociągaj się!

— Jasne. Dziękuję. — Skłonił się jej lekko.

Dziewczynka dygnęła z dworską manierą, pełną powagi, której nie spodziewałby się po dziesięciolatce. Potem, przeskakując przez dywan jak po rozgrzanych kamieniach, podbiegła do drzwi.

Rozsunęła je sama — bez większego oporu szyny — i zniknęła za nimi.

Przez chwilę słychać było tylko krótkie echo jej kroków, a potem w komnacie znów zapadła dziwna, miękka cisza.

Zephyr podrapał się po głowie i podszedł po kielich. Spojrzał na rozstawiony w rogu parawan. Skoro był sam, nie potrzebował go, ale najwyraźniej Larethe widziała nieraz, jak inni z niego korzystają.

Przystanął przy oknie i rozszerzył zasłonę szerzej. Dym z kadzidel zatańczył w powietrzu, a chłodne światło rozlało się po pomieszczeniu. Zerknął na otwartą szafę i sięgnął do skrzynki po wskazany flakon.

Wyjął Luminai i postawił z czcią na stoliku. Odkorkował i wciągnął powietrze — zapach był miękki, słodko-popielny, przypominał faktycznie dym. To wystarczyło, by zdecydować.

Po chwili był już ubrany w odświętne szaty. Dwa artefakty schował do kieszeni, a naszyjnik zawiesił z powrotem na szyi.

Drugi gong rozległ się głucho, a zza drzwi dobiegł głos Larethe:
— Szybkiej, Zephyrze!

Nie wiem, co się będzie działo — pomyślał i sięgnął myślą Dolorána:

— *Bądź czujny, przyjacielu.*

— *Jestem* — odpowiedziała pamięć w jego głowie. — *Nie lubię tego miejsca, w którym jesteś. Pan Munjo i Dafri też nie.*

— *Ja również* — mruknął i przygryzł niepewnie wargę, zdając się bić sam w myślach.

Szarpnął drzwiami, przyzwyczajony do tych ciężkich z Gyo. Te rozsunęły się lekko, z miłym łoskotem o koniec szyny ze względu na włożoną siłę.

Larethe aż podskoczyła i spojrzała na niego zaskoczona. Szybko odzyskała rezon.

— Dobrze. Ładnie. Możemy iść. Nie ma czasu — powiedziała, chwytając go za rękę.

Korytarz błyszczał tak samo jak komnata, w której spał, gdy okna były w niej zasłonięte — połyskiwał od światła świec i chłodu kamienia.

Na ścianach wisiały liczne obrazy i malowidła zarówno w stylu tych zaihonskich, jak i bliższych twierdzy w Nikyo czy nawet tych z Dwukontynentu. Ich barwy jawiły się przytłumione przez wiek i dym kadzideł. Wysokie kandelabry stojące po obu stronach korytarza płonęły spokojnym ogniem; воск świec spływał po nich leniwie i zastygał w mlecznych naciekach na metalowych talerzykach.

Co jakiś czas mijali inne drzwi, zza których przeważnie nie wydobywał się żaden dźwięk. Całość korytarzy była perfekcyjnie utrzymana, bez śladu kurzu czy zapachu stęchlizny znanego mu z Nikyo.

W końcu minęli kogoś, zdającego się należeć do służby pałacowej. Kobieta na ich widok skłoniła się nisko i odeszła bokiem. Czarna szata zakrywała ją od szyi po stopy, a ukłon był tak głęboki, że nie pozwalał dostrzec twarzy.

Po krótkim marszu krętymi korytarzami dotarli do nowej sali. Tu zaczynała się obszerna komnata kolumnowa, przypominająca tę w twierdzy w Nikyo. Po bokach znajdowały się dwa wyjścia, a przed nimi — masywne drzwi, zdobione wzorem skrzyżowanych żeber.

Widok stojących przed nimi postaci przeszył go natychmiast.

Czekali tam Itsarmin — którego oczy o kolorze ciemnego granatu pozostały równie zimne jak wtedy na placu w Furukawie — oraz niewzruszona na jego widok Urdinea. Ta sama, którą

widział ostatnio w Drugiej Stolicy w formie pamięci bestii zwanej w uaento jako *litvorago*. Z nimi kolejnych czterech czarnych rycerzy bez kościanych zdobień. Spojrzenie Itsarmina nie pozostawiało wątpliwości — nie był zadowolony, że znów go widzi.

Kobieta w przyłbicy *litvorago* odezwała się w hezari do Larethe:

— Zaraz wybije trzeci gong.

— Przepraszam, Urdineo — odparła dziewczynka z lekkim dygnięciem, wskazując na Zephyra. — Ociagał się.

Hełm kobiety obrócił się w jego stronę, lecz nie padło z jej ust żadne słowo. Odbierał tę reakcję podobnie jak wzrok Itsarmina.

Z jednego z bocznych przejść wyszedł kolejny rycerz. Jego przyłbica miała kształt czaszki z długą trąbką przypominającą konika morskiego. Nie nosił jednak dodatkowych czaszek ani trofeów na zbroi. Zephyr zmrużył oczy. Nie był pewien, ale wreszcie rozpoznał i jego. Był to Tintazar, najstarszy z trójki, która przebywała wcześniej w Nikyo.

— Ważne, że zdążyli, Urdineo — powiedział, kierując spojrzenie na niego i dziewczynkę. — Zapraszamy, panie Euris.

Dwójka rycerzy bez charakterystycznych kościanych masek podeszła jednocześnie i otworzyła masywne drzwi, pchając je do wewnątrz. Za nimi kryła się ciężka kotara. Kiedy się poruszyła z obu stron, Zephyr dostrzegł dłonie, które od wewnątrz uchylały materiał.

Spojrzał na Larethe. Dziewczynka skinęła mu głową i drobnym gestem dłoni wskazała, by ruszył naprzód.

Szedł po miękkim dywanie w nowych, eleganckich trzewikach, patrząc pewnie przed siebie.

Mijając ich, analizował opcje. Nie miał z nimi szans sam w bezpośrednim starciu. Ucieczki nawet nie widział jako realną opcję. Musiał na razie zagrać w tę grę, którą mu podsunięto.

Przekroczył próg i wszedł za kotarę. Drzwi za nim zamknęły się z lekkim stukiem, a echo odbiło się od ścian jak westchnienie. Później opadła również kotara z lekkim powiewem.

Komnata była przestronna i bogato zdobiona — znacznie większa od jego własnej. W rogach sali stały kadzielnice o smukłych szyjach, z których unosił się dym o tym samym opiumowym zapachu. Z sufitu zwisały ciężkie, złożone żyrandole z płonącymi świecami, a duży kominek na wprost buchał żywym ogniem.

Przed nim ustawiono dwa fotele, niską sofę obitą czarną tkaniną i niewielki stolik kredensowy z drewna malowanego tym samym kolorem. W rogu, przy ścianie, stał otwarty fortepian — jego nogi i klawisze wykończono kością błyszczącą jak perła.

Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy szaf z książkami i półki pełne zwojów. Na samym środku sali dominował masywny okrągły pusty stół z czarnego marmuru, przy którym stały dwa identyczne krzesła pasujące kolorem do reszty wystroju, ozdobione arabeskami i drobnymi kośćmi wplecionymi w ornament.

Poza głównymi wrotami, przez które wszedł, w pokoju znajdowało się jeszcze troje drzwi. Jedne znajdowały się na tej samej ścianie, drugie naprzeciw pierwszych; trzecie, większe, tuż za marmurowym stołem między okiennicami. Przy każdych

podwójnych wrotach stali ukłonieni służący w długich, czarnych szatach.

— Proszę poczekać z zajęciem miejsca do pojawienia się *pani* — powiedział uniżenie służący, który wcześniej uchylał kotarę.

Zephyr kiwnął głową i podszedł do jednej z półek z księgami.

Tytulatura względem jego gospodyni użyta przez tego mężczyznę zastanowiła go. Z jakiegoś powodu brzmiała nienaturalnie, wymuszona w użyciu.

Chodził po pomieszczeniu. Służący nawet na niego nie patrzyli.

I gdy już przystanął przy szafie i miał sięgnąć po jeden z woluminów — wybił trzeci gong.

Drzwi za jego plecami otworzyły się.

Stała w nich „Pani Siostra” w innej szacie niż wtedy, gdy była w jego pokoju. Wysoka, wyprostowana, jakby cała sala należała do niej od zawsze.

Miała na sobie długą czarno-białą szatę, której wzór układał się w stylizowany motyw kości ludzkiego szkieletu. Czerni tkaniny kontrastowała z jasnymi liniami, tworząc wrażenie, jak gdyby sama nosiła na sobie życie i śmierć.

Nad piersiami połyskiwał ten sam srebrny medalion: dwa współśrodkowe okręgi, przecięte ukośnym krzyżem o ramionach wychodzących poza pole zewnętrznego kręgu oraz z czteroramienną gwiazdą między nimi — znak, którego Zephyr jeszcze nie znał. Jej włosy spływały po ciele jak wcześniej. Wzdłuż ramion niczym srebrno-białe nici, idealnie proste, przecinane jednym pasmem głębokiej czerni po lewej.

Szła tak samo jak wtedy — z gracją i niepokojącą płynnością, a włosy znów zdawały się nie nadążać za jej ruchem. Każdy krok był tak cichy, że zdawało się, jakby nie dotykała ziemi.

Zephyr wykonał w jej kierunku kilka kroków, zbliżając się do marmurowego stołu. Popielate oczy kobiety, otoczone czarnymi obręczami, przyglądały mu się z tym samym spokojem co wcześniej — tym razem jednak przesunęły się po nim od stóp po ramiona, jakby oceniały nie tyle jego wygląd, co jego stan.

Ubrał się zgodnie z radą Larethe: czarne spodnie i biała koszula z wysokim kołnierzem, na to krótki surdut o prostym kroju, spięty srebrną sprzączką. Czern i biel odbijały się w blasku ognia, tworząc z jego sylwetki echo jej własnej.

Służący za jej plecami odsunęli krzesło. Ku zaskoczeniu Zephyra, ci stojący za nim zrobili to samo — niemal jednocześnie, z tą samą, nienaganną precyzją.

Zawahał się. Czytał kiedyś o dworskich etykietach, ale żadna księga nie mówiła, jak zachować się przy takiej osobistości w sytuacji sam na sam.

— Podejdź do stołu i przysiądź, drogi Zephyrze — powiedziała, a jej głos nadal pozostawał miękki i melodyjny; każde słowo układało się w dźwięk instrumentu.

Zrobił, co kazała. Gdy on sięgnął oparcia, ona uczyniła to samo — siedli niemal równocześnie.

Oparła łokieć o stół, nie przejmując się zasadami. Podparła podbródek na otwartej dłoni i, przyglądając mu się z niezmiennym uśmiechem, powiedziała:

— Doceniam wybór. Uwielbiam *Luminai*.

Na dźwięk jej słów boczne drzwi otworzyły się. Do komnaty weszli służący, niosąc tace pełne naczyń z porcelany, metalu i kości. Powietrze wypełniło się zapachem przypraw i kadzidła.

Uczta właśnie miała się rozpocząć.

II

Służba weszła bezszelestnie, niosąc tace, jakby każdy ruch był zapamiętany z próby.

Na czarny marmur spływały kolejno misternie ułożone naczynia — dzbanki z kości, duże talerze z matowego metalu, cienkie noże o zakrzywionych ostrzach i porcelanowe dodatki. Zephyr stracił rachubę po trzecim widelcu i łyżeczce, z których wszystkie miały inny kształt.

Trunek przelano do przezroczystych kieliszków. Czerwone wino połyskiwało w świetle świec jak roztopiony rubin. Zapach był głęboki, z nutą wiśni i drewna z beczki, w której dojrzewało.

Gdy służba opuściła komnatę, Zephyr uniósł naczynie, zakręcił nim lekko i upił łyk. Przez moment zapomniał, gdzie siedział.

To było najlepsze wino, jakie kiedykolwiek pił — gładsze i pełniejsze nawet od tego, które podano mu w jego komnacie. Ciepło rozlało się po gardle, a w smaku była równowaga: słodycz owocu i cień dymu, jakby wino pamiętało ogień, z którego się narodziło.

Ona trzymała swój kieliszek w dłoni, ale nie piła. Uśmiechnęła się tylko subtelnie, dostrzegając jego zachwyt i coś jeszcze...

Błąd w etykiecie. Napił się przed nią.

— Cieszę się, że ci smakuje, drogi Zephyrze — powiedziała do niego w hezari z uśmiechem, a w jej głosie brzmiała miękka nuta rozbawienia.

— Najmocniej przepraszam — odparł speszony, nie mogąc skupić wzroku na jej oczach.

— Jesteśmy sami — odrzekła spokojnie, unosząc kieliszek i obracając go w dłoniach. — Konwenanse możemy włożyć między półki. Przynajmniej dopóki ktoś nie wejdzie. Lub służba nie przyniesie dania... albo sami jej nie wezwiemy — powiedziała, wskazując wolną ręką na dzwonki po obu stronach stołu.

Uśmiech nie zniknął. Jej oczy błysnęły lekko, jakby bawił ją ten moment, w którym oboje mogli udawać, że to tylko obiad.

Pierwsze danie wniesiono chwilę później — jasną, białą, niemal mleczną zupę, która z mlekiem nie miała nic wspólnego. Podano ją w czarnych misach, a nad powierzchnią wywaru unosił się delikatny zapach znajomych ziół, z których często korzystał w kuchni również Hartulf z Lykaïą. Ona jadła powoli, w milczeniu, a Zephyr, nie chcąc popełnić kolejnego błędu, naśladował jej ruchy.

Po zabraniu talerzy odsunął się odrobinę od stołu. Wiedział, że cisza przedłuża się zbyt długo. Znał tę fałszywą zaihonską gościnność i musiał przejąć inicjatywę.

Wreszcie zebrał się na odwagę i odezwał:

— Nie chcę wyjść na nieuprzejmego wobec takiej gościnności... ale nadal nie poznałem twojego imienia, o *Pani*.

Kobieta zakręciła kieliszkiem, a rubinowy refleks wina zatańczył na jej dłoni. Spojrzała na niego głęboko — tak jakby samo pytanie było testem i cała ta cisza powstała tylko dla tego momentu.

— *Erdene Hezurzainara*.

Łomienie zadrżały i pochyliły się ku niej, zdając się uznawać to imię. Upiła drobny łyk, nim dodała cicho, tonem zbyt spokojnym jak na wagę słów:

— Niektórzy lubią mnie nazywać przydomkiem *Berezi*.

Upiła kolejny łyk.

— Inni dłużej: *Erdene Hezurzainara Berezi, Władczynią Kościanych Twierdz, Królową Nowego Dominatu Hezurkaroi, Sto Osiemdziesiątą Pierwszą Czytającą Karn'tul, Kaiganrinem, Strażnikiem Morza i Gór*.

Na ostatni drgnął jej kącik ust. A sposób, w jaki wymieniała tytuły, przypominał formułkę wypowiedzaną przez kogoś, kto już dawno przestał w nią wierzyć mimo tak młodego wieku.

Zephyr nie był zaskoczony tą rewelacją. Wpatrywał się w jej oczy — w ten hipnotyzujący, nienaturalnie spokojny wzrok.

Każde z nich próbowało czytać drugie, lecz ona robiła to lepiej.

Milczenie po tym przedstawieniu przeciągało się. Czuł, że ona czekała, aż padnie pytanie, którego nie wypowie nikt inny poza nim. Cała służba w pałacu, włącznie z Larethę, zdawała się poinstruowana tylko dla tej chwili. Aby jej imię i tytułatura nie padły do tego momentu.

I ten przydomek — *Berezi*. O znaczeniu bolesnym dla niego samego...

— Jak mam się zwracać do Waszej Wysokości? — spytał wreszcie, bez ceremonialnego tonu, ale z wyczuwalnym ciężarem w głosie.

— Po prostu *Erdene*, drogi Zephyrze — odpowiedziała krótko, bez zmiany wyrazu twarzy.

Sposób, w jaki wypowiedziała swoje imię, sprawił, że zabrzmiało to jak zaproszenie i ostrzeżenie jednocześnie.

Po chwili spytała w uamento, z tą samą miękką melodią w głosie, której nie sposób było rozpoznać jako zagrożenie:

— Czy mogę zwracać się do ciebie, *Zephyrze*? Czy wolisz pełny tytuł: *Zephyr Eurus Młodszy Scivolaro Urbo de Oriento* — zawiesiła głos, a jej oczy nie drgnęły — czy *Virtaro Kolonój Zaihona de Nikyo*?

Zrobiła krótką pauzę.

— Ten nie pasuje. Może raczej... Bardziej aktualny — *Protektaro Gyo*?

Ostatnie słowa przeszły go jak zimny powiew. Wiedziała tak jak i on, co właśnie zaszło. Wiedziała o wszystkim i użyła jednego słowa, aby mu o tym powiedzieć — to, że ma informacje o jego towarzyszach, o kolonii, o misji.

Mimowolny ruch mięśni na jego twarzy wystarczył, by się uśmiechnęła szerzej.

— To będzie mój pierwszy prezent dla ciebie — powiedziała ciepło. — Z okazji twoich urodzin. Obiecuję ci *spokój*. To, że nic nie stanie się twoim towarzyszom z Unaro, dopóki jesteś gościem na moim dworze.

Zephyr nie zdążył nawet przetworzyć tego, co właśnie zaszło.

W tej samej chwili boczne drzwi komnaty otworzyły się cicho, niczym na jej bezdźwięczne zawołanie. Służba weszła z tacami, niosąc drugie danie. Zapach mięsa i przypraw wypełnił powietrze, przykrywając echo jej słów.

To różniło się od pierwszego w każdym elemencie.

Na talerzach, poza typowymi dodatkami, spoczywały grube kawałki mięsa — gęste, ciężkie, błyszczące od tłuszczu i czerwonego sosu. Zapach wina mieszał się z żelaznym aromatem krwi. W świetle świec mięso lśniło, jakby wciąż tętniło życiem pod upieczoną cienką warstwą.

Erdene sięgnęła po nóż i widelec z precyzją pokazującą, że nie po raz pierwszy je takie danie. Odkroiła kawałek, uniosła go bez cienia wahania, eksponując mu krwiste mięso, i powoli wsunęła do ust. Przez chwilę słychać było tylko delikatne muśnięcie sztućców o porcelanę.

Zephyr przełknął ślinę. Nigdy nie jadł niczego tak surowego. Nawet w Gyo, gdzie na początku zdarzało się im nie dopiekać lub spalać ryby i ptactwo, mięso zawsze miało w sobie choć cień wewnętrznego ognia. A to... to wyglądało na usmażone tylko z zewnątrz. Gdy wbił widelec, z wnętrza wypłynęła ciemna strużka.

Zerknął na Erdene. Jadła spokojnie, z tą samą królewską elegancją co wcześniej, jakby krew na talerzu była dodatkiem do sosu.

— To danie powstało ponoć pierwszy raz w kuchni lokalnego możnego z Mardaby. Na północ od Gór Ilun na Dwukontynencie — powiedziała ponownie w hezari, kończąc swoją porcję, nie odrywając wzroku od talerza.

— Przyrządza się je tak, by zachowało pamięć życia. Podobno ten człowiek chciał, by jego goście czuli, że jedzą coś więcej niż mięso.

Zawiesiła głos i dodała niemal szeptem:

— Niektórzy mówią, że tylko wtedy ma smak.

Zephyr opuścił wzrok na swój talerz, nie wiedząc, czy bardziej wstrząsa nim zapach czy znaczenie jej słów.

Pamięć życia — czyli tchnienie. Jak często to słyszał, ale nigdy w tak dosłownym sensie na Zaihon. A przynajmniej tak myślał, że do tego nawiązuje...

Erdene uniosła kieliszek do ust, spoglądając na niego znad krawędzi szkła.

— Smak, który przypomina, że śmierć to tylko początek innej formy trwania.

Przetarła usta serwetą, spojrzała w jego stronę i zapytała tonem uprzejmym, jak gdyby zaczynała rozmowę o pogodzie:

— Z tego, co wiem, Urbo de Oriento leży w Odolhezurartei. Dawniej Nditenshi, prawda?

Zephyr odwrócił wzrok i zajął się mięsem. Wiedziała, że jej nie odpowie, ale i tak mówiła dalej — powoli, z precyzją kogoś, kto czerpie przyjemność z ciszy między zdaniami.

— To faktycznie dość daleko od północnego Cyplu Marda... więc mogłeś tam nie dopłynąć. Ciekawe, czy ta potrawa dalej jest tam popularna. — Przesunęła palcem po brzegu kieliszka. — Mam nadzieję, że kanał na Półwyspie Gaskor nadal istnieje. Ułatwiał podróż przybrzeżną.

Zamilkła, po czym uniosła wzrok. Oczy zalśniły, gdy zobaczyła, jak Zephyr nieporadnie przetyka kawałek mięsa.

— Byłeś kiedyś w ruinach miasta zwanego Hezurkaroi? — spytała miękko, łagodnie. W głosie wybrzmiała nuta ironii, która ciągnęła się jak cienka nić pod słowami.

Zephyr przełknął kęs, sięgnął po wino i dopiero po chwili odpowiedział, tonem zmęczonym i przybitym:

— Nie ma obecnie takiego miasta na Dwukontynencie.

Świece ponownie zadrzęły, jakby jego słowa obraziły samą przestrzeń. Jej głos zmienił się niczym zwalnająca melodia.

— Tak też słyszałam... — powiedziała cicho, a na chwilę w jej oczach pojawił się cień prawdziwego smutku. — Myślałam, że może o nim coś wiesz.

Uśmiechnęła się — zbyt sztucznie, by uwierzyć w żal — i napiła się wina, patrząc, jak Zephyr męczy się z posiłkiem.

— Nie smakuje ci? — spytała łagodnie, tonem niemal czułym.

Zephyr jadł w milczeniu. Wiedziała, że nie odpowie, i mówiła dalej, jakby prowadziła rozmowę sama ze sobą.

— Podobno bardzo malownicze jest też Hezur-Atezar w Volkorda. Zwłaszcza zimą, kiedy cała przełęcz lśni od śniegu i blasku dwóch słońc...

Nagle klasnęła w dłoń.

— To mi przypomniało! — powiedziała z dziecinnym entuzjazmem, który brzmiał nienaturalnie po chwili ciszy. — Muszę cię zabrać na spacer po naszym mieście. Obiecuję, że nie będziesz żałował.

W jej spojrzeniu znów błysnęło coś niepokojącego.

— To mówienie o historii i miejscach przypomniało mi coś jeszcze. Ostatnio przeczytałam bardzo ciekawą sentencję, lecz nie do końca pamiętam, kto był jej autorem. Na Dwukontynencie mają powiadać, że „twój dom jest tam, gdzie spotyka się jego mieszkańców”.

Na te słowa Zephyr lekko drgnął, a usta same się rozchyliły. Wspomnienie Urbo de Oriento i ciepłego spojrzenia mistrza Vilhelma uderzyło go niczym obuch. Ona kontynuowała:

— Widzisz, drogi Zephyrze. Skoro tak jest, to może nie powinnam się kompletnie przejmować tym, że nasz lud został ograbiony z dziedzictwa i ziemi, skoro tutaj są jego mieszkańcy... Co o tym sądzisz?

Nie odpowiadał. Ona pochwyciła dzwonek, wyraźnie rozbawiona jego reakcją, a raczej jej brakiem. Dźwięk rozszedł się po sali — trzy czyste tony, z jedną pauzą po drugim, jak wzór, który znało tylko to miejsce.

Z bocznych drzwi wyszedł służący, niosąc na tacy ciężką księgę. Skłonił się głęboko przed Erdene, po czym podszedł do Zephyra i podał mu tom, nie patrząc w oczy.

Okladka była czarna, zdobiona wytłoczoną kością, chłodna w dotyku. Na grzbiecie widniał napis w hezari: *Garezur Kroniga — Kronika Czaszek*.

— To mój drugi prezent — powiedziała, a jej głos znów przybrał ten sam ciepły, kojący ton, który potrafił rozbroić czujność. — Wiedza, której jeszcze nie posiadasz, ale której — jestem pewna — pożądasz, aby pojąć to, o czym mówię.

Zerknęła na niego, a w jej oczach zatańczyło coś między ciekawością a rozbawieniem.

— Wiem to przynajmniej z raportów o tobie, że jesteś bardzo ciekawski i lubisz czytać.

Jej twarz nie zmieniła wyrazu, po czym dodała miękko:

— Gdy zapoznasz się z tą lekturą, obiecuję, że dam ci więcej.

Zephyr poczuł ciężar księgi w dłoniach. Nie daru, lecz próby — sprawdzającej, czy podźwignie jej zawartość i sekret.

— Możesz ją oddać memu słudze. Tom będzie czekał w twojej komnacie — odpowiedziała, widząc, jak bada swój prezent. Zgodnie z jej sugestią odłożył kronikę na tacę.

Zbierał myśli. Każde jej słowo, każdy gest, każde milczenie — wszystko układało się tak, jak chciała.

Napił się wina, licząc, że odrobina ciepła z kieliszka pozwoli mu odzyskać grunt. Wypił praktycznie całą zawartość na raz.

Gdy sięgnął i chwycił karafkę, by dolać sobie więcej, Erdene chrząknęła cicho. Spojrzał na nią pytająco. Uśmiechnęła się tylko czule i wskazała dłonią delikatnie na dzwonek.

— Jeden raz na dolanie wina — poinstruowała.

Nawet ta czynność należała do niej i kontrolowała tak prostą rzecz.

Zephyr odłożył niechętnie naczynie i zadzwonił, czując w sobie ciężar cichej kapitulacji. Podał się, czekając na dolanie wina.

Służba wreszcie przyniosła deser.

Ten był cichym cudem po ciężkim posiłku: chłodny jak poranny oddech, biały jak świeży śnieg, pachnący miodem i kwiatami. Konsystencja przypominała lód, który topniał powoli, wahając się między twardością a delikatnością.

Z każdym przełknięciem Zephyr czuł, że powietrze w sali gęstnieje, a zapach słodczy nie koił, lecz przytłaczał — wiedział, że sama uczta miała cel, którego wciąż nie rozumiał i wykraczał poza jego urodziny.

Erdene trzymała łyżeczkę przy ustach, patrząc na niego z tym samym kojącym spojrzeniem. Nabrawszy odrobinę deseru, dotknęła ust i pozwoliła, by chłód rozpuścił się na języku.

Po chwili spytała cicho:

— Wiesz, czym jest samotność?

Zephyr zerknął na nią znużony i ciekawy w jednym rzuconym spojrzeniu. Nie był już pewien, czy próbuje z nim rozmawiać, czy go badać. Pytanie brzmiało neutralnie, więc odpowiedział:

— Zdawało mi się ją poznać. Nawet wśród ludzi, którzy nazywają się wspólnotą równych. I wśród tych, których sam odrzuciłem.

— Mam podobnie — odparła, wpatrując się w łyżeczkę. — Do tego jestem podobno kimś, do kogo ludzie się modlą. Choć nigdy o to nie chodziło, gdy rodziła się filozofia Zhanshou. Tyle zmarnowanych słów bez pocucia ich bliskości.

Jej głos stwardniał.

— Oli też tego nie znosi, a ten starzec Getsurei... on się tym karmi. Kąpie się w blasku, który sam sobie wymyślił. — Skrzywiła się na własne słowa. — Trudno się dziwić, skoro Aorinowie nazwali swój pałac i jego teren Boskim Miastem. Megalomańska forma samotności podszyta fałszywą boskością.

Unosząc wzrok, zapytała:

— Byłeś tam kiedyś? W Shinkyo?

— Jest to zakazane dla cudzoziemców i wszystkich nieuprawnionych mieszkańców Zaihonu — odpowiedział pewnie.

— A jednak należysz do tych, którzy nie przejmują się zakazami i przyszedłeś do Furukawy. O wejściu do mojego sanktuarium w

Nikyo czy Oliego w Sankyo nie wspominając — powiedziała, odkładając łyżeczkę na salaterce. Pochyliła się lekko nad stołem; w jej spojrzeniu było coś miękkiego i niebezpiecznego zarazem. — Co do zwiedzania zakazanych lokacji... Jak ci się podobała *Wieża Oliego*?

— Wyjątkowe miejsce — odparł Zephyr, po czym włożył do ust kolejną łyżeczkę lodów, byle zająć czymś usta.

— Nic więcej nie powiesz? — spytała łagodnie, prosząc tym tonem o rozwinięcie i czekając, aż przelknie.

Odłożył swoją łyżeczkę i niechętnie kontynuował:

— Wydaje się drzewem bez końca. Sięgającym nieba i dna świata. Jakby to od tej wieży zależało, czy w Sankyo popłyną wodospady, czy zapadnie cisza. Sama korona reguluje to, czy słońca oświecą dolinę, czy zostanie ogarnięta cieniem. — Mówił spokojnie, lecz każde słowo zdawało się ważne na języku.

Erdene słuchała z zainteresowaniem, które wydawało się zbyt przesadne, by było szczere.

— Mniej więcej się zgadza — podsumowała miękko. — Musielście zwiedzić spory kawałek tej wieży, skoro wiesz, jak głęboko można zejść. A skoro tak... to zapewne jesteś świadomy tego — ażeby dostać się do niektórych miejsc, trzeba znać mowę drzewiastych *basokoi*...

Zrobiła krótką pauzę, sięgając po deser i biorąc łyżeczkę do ust. Spokojnie czekała, aż skruszony lód się rozpuści. Jej nadal łagodny wzrok przybrał niepokojącą ostrość, gdy wreszcie dopytała:

— Oli wspominał, że macie ze sobą lokalną dziewczynę, która włada ich mową. *Yerin*, tak?

Ton pozostał mimo to ciepły. Zbyt ciepły, skoro lód chwilę wcześniej stopniał w ustach.

Spojrzał na nią surowiej. Poczuł niesłychaną złość na to prawdopodobnie celowe przejęzyczenie. Rozdrażniony na wskroś, że przekreśliła jej imię.

— *Yorin* — poprawił sucho, próbując jej tego nie pokazać.

Wymieniali się spojrzeniami, gdy niespodziewanie *Erdene* zaśmiała się i machnęła ręką, jakby odganiała owada.

— Czytam dziennie tyle raportów, że czasami myślę imiona...

Zephyr, nie chcąc o tym dłużej rozmawiać, nabrał lodu do ust. Jej spojrzenie zmieniło się jednak w jednej chwili. Zdawała się czekać na to, aż sięgnie po deser. Nie było już w nim żadnych pozorów — z łagodnego stało się w pełni drapieżne. Przerodziło się z ciekawości w coś, co przypominało jawne namiętne kuszenie i urazę w jednym. Tym razem nie czekała, aż przelknie.

— Podoba ci się? — spytała cicho. — Kochasz ją?

Zaskoczyła go kompletnie. Lód stanął mu w gardle i piekł jeszcze mocniej. Nie potrafił odpowiedzieć, mimo że był pewny, co powinien zrobić czy powiedzieć. Odpowiedziało jej jego krztuszenie.

Erdene oparła się ciężko o krzesło, wypuszczając powietrze z ust z cichym westchnieniem. Nie czekała na odpowiedź i ta jedna reakcja jej najwyraźniej wystarczyła.

— Zazdroszczę jej... — Na moment jej ton zabrzmiał prawdziwie. — Mnie otaczają same staruchy, bestie, wróże, skryby, panicze i bandy osiłków. Razem z tymi za masywnymi drzwiami moich komnat.

Zerknęła w stronę wrót z ironią w oczach, po czym znów wróciła wzrokiem do niego.

— Z jakiegoś powodu praktycznie wszyscy mnie wielbią, choć nigdy o to nie prosiłam. Ludzie wręcz do mnie lgną, jakby nie mieli wyboru. Widzę w tym moją definicję samotności — istnieć w cudzej świadomości i być niezrozumianym przez tych, którzy ponoć są blisko słowem i ciałem.

Na jej twarzy pojawił się krzywy grymas.

— W końcu dlatego mój ojciec bez pytania nadał mi ten przydomek. *Berezi*.

Zephyr spojrzał na topniejący deser z nutą niepotrzebnego zrozumienia. Nie miał przecież prawa jej współczuć. A jednak coś w jej słowach poruszyło w nim znajome echo. Słowa same wypłynęły z jego ust:

— Chyba wiem, o czym mówisz...

Erdene uniosła brew. Zdziwienie było zbyt idealne, by mu uwierzyć.

— Jak to? Czym się wyróżniasz? Co sprawia, że tak się czujesz?

Zawahał się. Czuł, że nie powinien odpowiadać szczerze — a jednocześnie pragnął, by ktoś wreszcie rozumiał ten ciężar. Ktoś, kto sam był nim obarczony. Nawet jeśli tym kimś była jego przeciwniczka.

Uśmiechnęła się, jakby wyczuła jego myśl.

— Może będzie ci łatwiej, jeśli ja ci powiem o swoim przypadku. W końcu to tylko rozmowa między nami, prawda?

Patrzył na nią uważnie.

— I dla jasności. Nie chodzi tu o moją krew i jej pochodzenie. To jest trywialne w całym rozumieniu pamięci świata.

Wzięła głęboki wdech i znów przemówiła tym samym melodyjnym tonem, w którym każde słowo brzmiało jak idealna nuta:

— Zanim zacznę. Wiesz, czym jest *Pamięć Hezurkaroi*?

Zephyr spojrział na nią uważnie i pokręcił głową. Pamięć Ludu Kościanych Twierdz, której pożałowało Unaro. Wiedział tylko tyle o samym artefakcie. Musiał słuchać i nie zdradzać po sobie, że wie tylko to.

— To artefakt. *Karn'tul*. Ale ja wolę nazwę w uaento — *Ossamer*. Bardzo stary.

Zawiesiła głos, jakby szukała właściwego słowa.

— Ponoć sięga czasów powstania świata. Zawarta w nim pamięć jest tak gęsta, że nie trzeba go nawet dotykać, by ją zobaczyć. Wystarczy spojrzenie. Każdy może to zrobić.

Na twarzy dalej jaśniał ten sam uśmiech, z którym zaczęła mówić.

— Skutkiem ubocznym jest tylko to, że tracisz świadomość. I podświadomość. Generalnie nie masz po co żyć.

Zaśmiała się beztrząsco, jakby opowiadała coś dziecinnego, niewinnego.

— Mówi się też, że każda taka pamięć jest powiązana z *Maskami Niewyjaśnionych Wspomnień*. — Jej ton głosu zgęstniał, a sama nazwa miała wagę zaklęcia. — Ale gdy je zakładasz... umierasz. Więc raczej nie pomogą ci w odczytaniu niczego konkretnego, jeśli

planujesz się podzielić tą wiedzą. — Znów parsknęła śmiechem, cichym i niepokojąco radosnym. Szybko jednak spoważniała.

— Jest jednak sposób. — Położyła dłoń na stole, jakby chciała, by zapamiętał to zdanie. — W naszej tradycji istnieją przedmioty z przezroczystego obsydianu, prawie tak cienkiego jak szkło. Jeśli ktoś spojrzy przez nie na Ossamer, może dostrzec więcej i nie zatracić się w tym spojrzeniu. Czasem nawet pozwala przebudzić w sobie zdolność słyszenia szeptów.

Na wzmiankę o szkiełku myśl Zephyra powędrowała do jakiegoś wspomnienia z przeszłości, którego nie mógł sobie pod ciężarem tej rozmowy odtworzyć. *Przekłęte volontaire* — pomyślał kolejny raz tego dnia.

Chwyciła kieliszek. Wino na moment rozświetliło szkło niczym krew w płomieniu świecy i upiła z niego ostatni łyk.

— Dla przypomnienia — zaczęła cicho — jestem *Sto Osiemdziesiątą Pierwszą Czytającą Karn'tul*. Każdy władca naszego ludu musi potrafić odczytać choć jeden jego fragment i uzupełnić nim *Kronikę Czaszek*. Najbliżsi dworu muszą zaś dostąpić łaski *słyszenia pamięci*. Jeśli im się nie uda — stają się zbyteczni.

Zephyr zacisnął dłonie na oparciach krzesła. Patrzył na nią, gdy zwróciła wzrok ku kominkowi, a cienie zatańczyły na jej twarzy.

Po chwili spojrzała z powrotem na niego — z tym samym spokojem, który potrafił gasić wszystko wokół.

— Jestem i ja — *Erdene Hezurzainara Berezi*. Wyjątkowa — skończyła z półuśmiechem, choć w jej oczach błysnęło coś niepokojąco chłodnego. — Wielu władców Hezurkaroi mogło patrzeć na Ossamer bez tego „wspomagacza”. Jednak z tych

wszystkich ludzi tylko cztery osoby mogły przebywać w obecności tej pamięci bez oporu. W tym pierwszy legendarny król Hezurkaroi.

Nachyliła się ku niemu, zdając się chcieć mu zdradzić tajemnicę:

— Ale tylko jedna z nich przeczytała go praktycznie w całości w tak młodym wieku.

Chrząknęła z gracją i sięgnęła po dzwonek. Jednym brzdęknięciem poprosiła o wino, nadal patrząc na Zephyra.

Po uzupełnieniu obu kieliszków wzięła swój, oparła się wygodnie na krześle i poprosiła łagodnie:

— Teraz twoja kolej.

Zephyr wziął wdech. Głos wyszedł przyciszony.

— Odkąd pojawiłem się na Zaihon, wszyscy mi powtarzają, że jestem „wyjątkowy”. Nie z powodu pochodzenia — bo nie mam skąd się wywodzić, by się tym szczycić. Szczególnie w twojej obecności... — Przełknął te słowa i dodał: — Przybyłem na wasz ład z... niematerialnym artefaktem.

Erdene pokręciła kieliszkiem w dłoni, przyglądając się Zephyrowi z zaciekawieniem.

— Czytałam w raporcie, że oszukałeś tych biedaków w Nikyo na ten temat — powiedziała spokojnie. — Co właściwie z nim zrobiłeś? Jak go ukryłeś w swojej podświadomości?

Zephyr odwrócił się i spojrzał w ogień kominka, szukając w nim odwagi. Głos miał już inny: mniej obronny, bardziej rozbity. Wreszcie się przełamał:

— Ta pamięć była samoświadoma. Przemówiła do mnie i wdarła się do mojego umysłu razem z przedmiotem. I aby to było jasne. To ona ukryła się w swojej własnej podświadomości i przyczepiła się do mojej. W końcu groziła. Do tego wzięła i jednocześnie spajała się z rozszczepioną pamięcią chłopca, który wiele wycierpiał za życia. Chciałem go uratować i podzieliłem artefakt. Rozszczepiłem to, co już było rozszczepione i spalone.

Przerwał, przełykając z trudem. Napił się sporo wina duszkiem i kontynuował:

— Ponoć nie powinno być to możliwe. Nie dość, że to uczyniłem, to uwolniłem ten byt, który w nim istniał. I ta istota zagraża obecnie życiu i pamięci na całym Zaihonie.

W jego słowach nie było patosu, tylko surowy żal: nie tłumaczył się, nie bronił. Mówił jak ktoś, kto właśnie policzył straty.

Przechyliła lekko głowę i powiedziała z prawdopodobnie udawaną troską:

— O tym też czytałam. Staraliśmy się śledzić tego osobnika, ale to trudne. — Zrobiła krótką pauzę i uśmiechnęła się troskliwie. — To nie jest wyłącznie twoja wina, że to wszystko się dzieje. Ale... do tego dojdziemy zaraz.

Jej ton zabrzmiał jak zapowiedź kolejnego rozdziału przesłuchania. Zephyr, mimo nuty ciekawości, nie przerwał.

— Tak jak wspomniałem. Według znanej wiedzy to, czego dokonałem, można uznać za fenomen.

Głos miał spokojny, lecz pod spodem drżała nuta wstydu.

— Rozszczepiłem pamięć artefaktu we własnej jaźni. Oryginalny przedmiot opuścił moje ciało razem z pamięcią

potwora, a ja... — Spojrzał na nią, chcąc sam się przekonać, czy ona dalej podąża za jego słowami i czy mu uwierzy.

— Stałem się żywym artefaktem. Naczyniem cudzej pamięci. Wspomnień chłopca, którego uratowałem. Według wielu fenomenem pamięci świata.

Erdene lekko otworzyła usta. Tym razem prawdopodobnie bez gry. Przez moment wyglądała, jakby naprawdę nie wiedziała.

— Tak wygląda moja wyjątkowość. Bo widziałem więcej niż inni po waszym ataku na nasze statki. Bo tak łatwo słyszę szept. By wreszcie mieć, według wielu, wrodzony dar przywódcy, który sprawdził się w boju. Ale to nie żadna łaska.

Dotknął dłonią klatki piersiowej.

— Zdecydował przypadek. Nic z tego, co osiągnąłem, nie byłoby możliwe, gdyby nie ten rubin. Słyszę szept, które nie należą do mnie i o których w normalnych okolicznościach nigdy bym nie wiedział. To nie dar, tylko echo, które zostało we mnie po moim czynie na pamięci. Zrobił ze mną to samo, co dla was czyni Ossamer. Obudził te zdolności. Wyostrzył szósty zmysł...

Erdene upiła z gracją z kieliszka kolejny łyk.

— Zrobił nawet coś więcej... — zaczęła z powagą, patrząc na niego zza szkła, po czym nagle dodała cieplej:

— To, co mówisz, jest tylko częściowo prawdą. Ty, Zephyrze, jesteś wyjątkowy w zupełnie inny sposób. Głębszy niż tylko twój fenomen.

Słowa, zaskakująco podobne do tych, które kiedyś wypowiedziała Yorin, zabrzmiały w jego głowie jak echo. Spojrzał na nią zaskoczony.

— Upór w dążeniu do celu, oddanie sprawie bez oczekiwania na nagrodę, trwanie we własnych przekonaniach mimo presji otoczenia, inteligencja, szczerość i jawność działania... Mogłabym tak wymieniać jeszcze chwilę — kontynuowała, odstawiając kieliszek na stół.

— I co najważniejsze. Przetrwałeś ze mną ten posiłek w tej jakże miłej atmosferze. — Zaśmiała się szczerze, rozbawiająco. — Takim cię widzę po tym doświadczeniu. I po tym, co o tobie czytałam. I po historiach słodkiej Larethe.

Zawiesiła wzrok na nim i dodała z błyskiem w oku:

— Nawet po opowiadstce Oliego z waszego krótkiego spotkania w Sankyo. Wiesz, że ten stary basokoi powiedział mi, iż jeszcze nikt nigdy przed widmem własnej śmierci nie odważył się spytać go o jego filozoficzne biadolenie, gdy miał go właśnie mordować? A on żyje ponad tysiąc lat! — Roześmiała się głośniej, tym razem bardzo szczerze. Wino najwyraźniej musiało zacząć na nią działać.

Zephyr nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Faktycznie mówił wiele przypowieściami, gdy miał mnie wykańczać... — przyznał onieśmielony.

Poczuł prawdziwe ciepło w sercu, choć wciąż walczył ze sobą, by je odegnąć. Patrzył na rozbawioną kobietę, która właśnie — zupełnie otwarcie, mimo skrytej intencji — przyznała się do swojego planu na ten posiłek. Jeszcze chwilę temu czuł się okropnie; wiedział, że w każdej chwili mogła zaatakować go słowem, gestem, spojrzeniem. A jednak teraz śmiała się, a on razem z nią i nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Hipnotyzowała sobą nawet wtedy, gdy patrzyła gdzie indziej.

Wziął wdech i powiedział spokojnym tonem, sam będąc zaskoczony, że tak pomyślał:

— Ty też jesteś inna, Erdene. — Spojrzał jej wreszcie prosto w oczy. — Nie spodziewałem się, że Kaiganrin okaże się tak intrygującą kobietą. Nie dlatego, że potrafi to, czego inni nie potrafią...

Jej oczy zaśniły, a na policzkach pojawił się rumieniec — może od wina, może faktycznie od jego komplementu. Nie potrafił jej nadal w pełni odczytać.

— ...a dlatego, że tak dobrze rozumie ludzką naturę — dokończył spieszony, patrząc na jej rozjaśnioną twarz. — Imponuje mi to i zdaje mi się, że pojąłem twoje zamiary względem naszego obiadu. Mam przyjaciółkę, która nie znosi przegrywać. Ja też mam tę złą cechę. A teraz, mimo twoich słów uznania... — Uśmiechnął się krzywo i spuścił na moment wzrok. — Czuję się, jakbym właściwie z tobą przegrał tę grę pozorów.

Erdene zwęziła powieki, jak gdyby ważyła jego słowa.

— Doceniam, że to dostrzegłeś — odparła miękko. — To tylko podkreśla to, co mówiłam o tobie wcześniej. I dobrze cię rozumiem. Dlatego mam dla ciebie pewną propozycję. Chcesz mieć okazję na rewanż?

Nie rozumiał, o co jej chodzi, ale i tak kiwnął potwierdzająco głową.

— Dobrze. To będzie twój trzeci prezent z okazji urodzin. Poczucie *spełnienia* po tej porażce.

Uśmiech i rumieniec nie schodziły jej z twarzy, gdy sięgała po dzwonek. Uderzyła nim cztery razy. Do pomieszczenia

natychmiast weszła służba, a w tle rozległ się głęboki ton gongu — zapewne znak końca uczty. Gdy odsunięto im krzesła, Erdene wstała z tą samą gracją, z jaką wcześniej siadała.

— Aby go odebrać, musimy się udać w jedno miejsce.

Wrota za Zephyrem otworzyły się szeroko, a powietrze wypełnił słodkawy zapach perfum przy jej ruchu. Kierowała się w stronę wyjścia, a każdy stawiany krok był jak część misternej procesji.

Tuż przed rozwartymi kotarami obejrzała się przez ramię w stronę Zephyra.

— Idziemy? — zapytała łagodnie w uamento, półgłosem, z tą samą zmysłową pewnością, z jaką wcześniej mówiła o śmierci i pamięci. Tonem i słowem tak bliskim Zephyrowi, że poczuł je z taką samą siłą praktycznie od razu. Użyła go dokładnie tak jak Yorin, kiedy razem chodzili na spacer.

Pomyślał o niej i ich wspólnym czasie, lecz spojrzenie Erdene od razu rozmyło w nim obrazy tamtych chwil.

Nie musiał odpowiadać, aby wiedzieć, co uczynić.

III

Erdene kroczyła pierwsza. Obok niej pandy — jasna Suun i ciemny Paar — które czekały dotąd przy wrotach w sali kolumnowej. Larethe szła tuż za nią, równo z Zephyrem, a dalej trzech czarni rycerze z kostnymi ornamentami wraz z kolejnymi przybocznymi.

W ciszy przerywanej jedynie krokami zbrojnych i dźwiękami pazurów przemierzali korytarze, aż doszli do jednych wrót. Królowa odwróciła się przez ramię.

— Tintazarze, zaprowadź Zephyra po jego prezent. — Zatrzymała spojrzenie na swoim gościu. — Gdy już go odbierzesz, drogi Zephyrze, przyjdź na górę.

Obaj uklonili się jej. Zephyr ruszył za Tintazarem i jego ludźmi ku spiralnym schodom. Rycerz niósł ze sobą włócznię z ogniowym rdzeniem, który w świetle pochodni jarzył się jak żywy.

Na widok broni i samej przyłbicy z czaszką przypominającą pysk konika morskiego, Zephyr poczuł złość i obrzydzenie. Wyobrażał sobie, co ten uczynił tą włócznią w Nikyo przed wejściem do drugiego tunelu wobec uciekających bezbronnych ludzi. Czas zemsty za ten czyn musiał jednak poczekać...

Schody ciągnęły się stosunkowo długo i kończyły kratą — masywną, połyskującą mieszaniną sanaconidu, jakby błękitna krew pamięci zastygła w tym stopie. Tintazar otworzył ją i wprowadził Zephyra do małego, ciemnego pomieszczenia z jedną pochodnią z dodatkową kratą z tego samego metalu.

Rycerz wyjął klucz i stanął przed drugim przejściem. Nie ruszył dalej.

— Mimo że jest pan naszym honorowym gościem, nie zamierzam życzyć powodzenia — powiedział cicho, nie odwracając się twarzą do Zephyra. — Zrozumie pan to, albo nie, dopiero, gdy zmierzy się z tym, co tam czeka.

Klucz trafił do zamka i obrócił się w nim z głuchym stuknięciem, które przypominało uderzenie serca.

Gdy Zephyr przekroczył próg, krata zatrzasnęła się za nim głucho, gasząc ostatni oddech wolności. Przed nim wznosiły się ciężkie wrota z przytwierdzonym łańcuchem do ich otwierania.

Metal jęknął. Mechanizm ruszył, powoli rozjaśniając otaczającą go ciemność. Płomienie zapalały się po kolei, jakby ktoś prowadził je wzdłuż ścian niewidzialną dłonią.

Przez moment Zephyr poczuł się jak w Palatynum — tam, gdzie przed wiekami wojownicy walczyli o uznanie imperatora. Tyle że tutaj nie było wiwatów. Tylko echo, chłód i milczący osąd szarego kamienia.

Ruszył naprzód, przywołując pamięć Dolorána — nie z ostrożności, lecz z przyzwyczajenia. Powietrze zgęstniało, a esencja uformowała jego podwójny miecz. Domyślał się, co może się zaraz wydarzyć.

Arena na planie koła rozciągała się przed nim: utwardzona betonem z popiołu wulkanicznego, szara jak zastygły dym. Wyżej lśnił czarny marmur, a na jego tle — Erdene. Siedziała na tronie z

kości i kamienia. U jej stóp, na poduszkach, spoczywały pandy i Larethe. Po bokach — siedzieli na ławach trzech czarni rycerze.

Naprzeciw Zephyra otworzyły się drugie wrota. Wyszedł z nich mężczyzna już znacznie po trzydziestce — zarośnięty, obdarty, o zgaszonych oczach. U pasa miał przypiętą kościaną maskę ptaka z czarno-białym dziobem.

Ich spojrzenia przecięły się w połowie drogi. Zephyr uniósł wzrok ku Erdene.

— Trzeci prezent, Zephyrze. — Jej głos niósł się czysto po arenie, odbijając się od kamienia. — Aby zbić smak porażki ze mną i poczuć *spełnienie*.

Zatrzymała wzrok na przybyszu.

— Zapewne znasz Txoriana.

Maska u jego boku wyjaśniała wszystko — czarno-biały dziób mitycznego ptaka *zuribeltza*.

— Powiedzmy, że skrzywdził nas oboje — zaczęła cicho, ale głos i tak roznosił się po arenie. — Mnie, bo pozwolił, by bestia, o której rozmawialiśmy, uciekła z naszego sanktuarium w Nikyo. Była zapewne słabsza niż teraz. Wystarczył jeden skuteczny czyn, jeden prosty gest lub komunikat. „Cień” zrozumienia sytuacji. Teraz całe ziemie Zaihonu trzęsą się w strachu przez jego niedopatrzenie.

Zamilkła na ułamek chwili. Głos stwardniał, gdy wrócił, odbijając się od ścian:

— A potem uczynił wobec mnie coś, czego nie da się wypowiedzieć.

Kiedy echo poprzednich słów zniknęło, zaczęła mówić dalej:

— Ciebie też skrzywdził. Ciebie i twoją Yerin — przekręciła i przeciągnęła imię ponownie z premedytacją — a potem zbezczęścił ciało twojego przyjaciela Neriusa Dracci i wielu innych Praktyków. Nawet cywilów. Moich zagubionych dzieci...

Spojrzała na Zephyra, jakby wbijała w niego to wspomnienie.

Poczuł coś, co przypominało nieokiełznany gniew — ale nie wiedział wobec kogo. Głos Erdene niósł się dalej, coraz mocniejszy:

— Ktoś tak oddany swojej misji jak pan Dracca... Poświęcający się, by ratować innych... Poćwiartowany i spalony na placu jak pospolity śmieć...

Oczy Erdene rozbłyły głębią ich popielatej szarości.

— Jak śmiałeś, Txorianie! — krzyknęła i ułożyła się w teatralnej pozie, lekko odchylając głowę i przykładając dłoń do twarzy. Udawała, że to przeżywa, co Zephyr łatwo rozpoznał po jej mowie ciała.

Mimo to furia narastała w nim jak ciśnienie w zamkniętej komorze. Tak samo jak wtedy w Shokyo — gdy stracił panowanie i Eidolon wylał z siebie pokłady mrocznej esencji. Wiedział, że Erdene go prowokuje. Wiedział też, że Txorian zrobił jej coś, co w jej oczach zasługiwało na śmierć. I uczyniła z niego kata swojego rycerza. Ale miał powody, by wykonać ten wyrok. Walczył sam ze sobą tylko o to, czy powinien sprawić jej tę przyjemność.

Txorian podszedł powoli w stronę balkonu, na którym siedziała, i ukłękął z grymasem bólu na twarzy.

— Najjaśniejsza Pani. Nie mam usprawiedliwienia dla tego, co uczynilem z *tym* bytem i moim *Ilunhaitz*. Ale nie mogę być sądzony za rytuał pogrze—

— Wyrok zapadł, Txorianie. — Jej głos pozostał chłodny jak powierzchnia lodu. — Łaskawy, bo daję ci szansę odkupienia.

Uśmiechnęła się cienko, patrząc na swojego dawnego wojownika.

— Napraw swój błąd i pozbądź się pierwszego problemu, z którego zrodziły się inne. Odzyskaj to, co utracone, a uzyskasz wybaczenie.

Zephyr spojrzał na nią, potem na Larethe. Na twarzy dziewczynki nie było strachu, a wyłącznie niezrozumiały spokój. Oczy Erdene błyszczały w półmroku, kiedy wstawiała ze swego miejsca. Było w tym coś z jej gry, odkąd ją ujrzał — prowokacji, której reguły знаła tylko ona.

— Zatem zaczynamy — powiedziała, stając na krawędzi swojego balkonu. — Niech pojedynek zdecyduje, kto z was bardziej cierpi. Którego Minaiz jest bliższe oczyszczeniu w bólu. Minaiz dla wiecznego trwania i my, Minaizarak, je noszący na swych kościach.

Jej głos niósł się po marmurze echem. Zephyr na wzmiankę tych słów lekko drgnął, gdyż już je raz słyszał. Patrzył jeszcze na nią — nieruchomą, w pozie ogłoszenia sądu — gdy metaliczny skrzek przeciął ciszę.

Przemiana Txoriana zaczęła się gwałtownie. Zuribeltz wynurzył się z niego jak zwiastun zranionego nieba: pióra czarne, białe i srebrzyste tańczyły w świetle pochodni. Każdy ruch skrzydeł syłał iskrami odbitego blasku. Zephyr dostrzegł jednak na jego sylwetce kilka czarnych plam, których ten nie miał podczas ich pierwszego starcia.

— Txorianie — rzuciła Erdene, siadając z powrotem na tron — jeśli wlecisz na nasze piętro, twoi dawni towarzysze zabiją cię, zanim zdążysz opaść.

Bestia skrzeknęła upiornie, a powietrze trzęsło się od jego furii. Pióra opadały tak leniwie jak rozrzucone z poduszki pierze.

Zephyr przywołał zbroję Dolorána. Ciemna esencja spłynęła po jego ciele, tworząc na nim płytę z esencji, trzewiki i hełm ze spiczastą przyłbicą.

Erdene obserwowała go w milczeniu. Jej oczy nie śledziły całej areny — śledziły wyłącznie jego.

Na widok jego zbroi Txorian rozwarł skrzydła. Pióra posypały się ponownie jak iskry z rozżarzonego metalu.

Odpowiedział instynktownie — tak samo jak wtedy, gdy rycerz stawał naprzeciw Eidolona. Esencja wypłynęła spod stóp, ciekła ze zbroi, rozlewając się po arenie, gęsta, niemal żywa. Powietrze zadrżało; kamień nie był w stanie odetchnąć od ciężaru skumulowanej pamięci.

Obserwując efekt, Zephyr dostrzegł, że mrocznej części esencji jest jeszcze więcej niż było w Furukawie, gdy wykonywał ten sam ruch.

Txorian uderzył pierwszy. Jego szpakowate łapy szarpały powietrze, a pióra na przemian z kościstymi żebrami świstały jak ostrza. Zephyr unikał ich, ślizgając się po posadzce — Gwizdek gwizdnął pod stopami, niosąc go po gładkim betonie niczym po lodzie. Dafri pomagała: pióra odbijały się od niewidzialnej fali, wznosząc się ku górze.

Zuribeltz łądował między ciosami, rozpościerając żebrowe skrzydła, które ciąły powietrze w chaotycznym rytmie. Zephyr parował każdy z nich, a jego miecz łagodnie błyszczał, odbijając światło pochodni.

Krótkie wspomnienie przeszło mu przez głowę — wówczas, w Nikyo, to, co robił teraz, było niemożliwe. On i Yorin ledwo byli w stanie nadążyć. Teraz czuł tylko znużenie swoim przeciwnikiem.

Za łatwo. Tylko czy to on był słabszy, czy ja silniejszy? Oba stany naraz?

Gniew w nim gęstniał. Chciał więcej. Myśli rwały się do działania. Parował jeszcze jeden cios, potem kolejny — aż wreszcie zacisnął pięść. Dafri podniosła go wyżej i przysiadła na ścianie.

Gwizdek ryknął, a wraz z nim jedna ze szponiastych nóg zuribeltza przywarła do podłoża. Łód rozlał się po posadzce i odnózu jak rozbita tafla lustra. Zephyr oparł się wygodniej o kamienną ścianę drugiego piętra areny i uniośł dłonie.

Z ciemno-białej esencji wyrósł las ostrzy — cichy, utkany z cieni z drobnymi pobłyskami świetlistej materii. Txorian szarpał się, a pióra opadały. Te, które spadały blisko Zephyra, momentalnie zamarzały.

Kulminacja — pierwsze przeszycie. Drugie. Trzecie.

Echo uderzeń niosło się po marmurze długo po tym, jak cisza zdusiła dźwięk. Zwięził zasięg lasu, by ostrza rosły w stronę zuribeltza. Wtedy w głowie rozbrzmiał głos:

— *Przyjacielu Zephyrze... chcesz spróbować czegoś nowego?* — parsknął Dolorán.

— *Co proponujesz?* — spytał zafascynowany.

— Skoro już bawimy się z tym brzydkim ptakiem. I nie wiem, po co to robimy. To może połączymy naszą esencję z dźwiękami Gwizdka? Podręczymy go — bo ta paskuda aż prosi się o to!

Zephyr milczał. Czuł w sobie dziwną radość i żądzę, lekką jak nuta, która dopiero szuka instrumentu. Raz w życiu usłyszaną. W głowie odczuł również lekkie ułucie bólu, które szybko zignorował. Skrzeki zuribeltza powoli cichły. Czasu było mało.

— Zagrajcie...

Ryk Hyeolsuina rozlał się po arenie jak wspomnienie dawnego dnia z jego życia. W lesie esencji zaczęły wyrastać dziwne metalowe rurki, podobne do tych z naszyjnika Byogana — cienkie, lśniące, drżące w rytm niewidzialnego oddechu z otworami niczym na flecie.

Pierwsze dźwięki były delikatne, niemal ciepłe. Potem przeszły w ton smutny, kołyszący, nieludzko czysty.

Zuribeltz skrzeczał cicho. Z jego gardzieli zaczęła nagle dobywać się ta sama melodia. Skrzydła rozchyliły się gwałtownie, a z wnętrza ciała biły lodowate opary. Zamarzał od środka, aż wreszcie z otwartym dziobem zamilkł.

Zephyr opuścił dłonie. Esencja uspokoiła się, muzyka ustała, a on zerknął wyżej.

Erdene stała na skraju balkonu i kołysała się do rytmu, który jeszcze chwilę temu brzmiał w powietrzu. Na rękach trzymała Suun, kołyszając nią jak dzieckiem. Larethe odwróciła wzrok, zapewne nie mogąc patrzeć na zamrożonego ptaka przebitego ostrzami.

A Zephyr... nie wiedział, czy właśnie zwyciężył, czy tylko zagrał melodię, której autorem był ktoś inny.

— *To miało przestraszyć tę wiedźmę, a nie zachęcać do tańca!* — Dolorán tylko prychnął wściekle.

Nie odpowiedział mu. Wiedział, że ma on po części rację. Pokaz siły tutaj nic nie zmienił.

Las esencji zaczął się rozpadać. Cienie kolców osypywały się jak spalone wióry, a gdy ostatni z nich zniknął, zuribeltz drgnął i zapadł się w siebie. Txorian przybrał ludzką postać.

Ciało upadło ciężko na wulkaniczny kamień. Z ust wciąż unosił się mroźny opar, choć na ciele nie było żadnej rany poza czarnymi znamionami pod podartym odzieniem. Pamiętał słowa Severiana: „Obrażenia pamięci nie zostawiają śladów na przywołanym ciele ze wspomnienia, lecz na tym, co w nim utkwilo”. Tu jednak je dostrzegł...

I teraz po raz pierwszy sam pokonał pamięcią inną personifikację artefaktu.

Ciszę po pojedynku przerwał pojedynczy oklask. Potem drugi. Erdene stała na skraju balkonu, a Suun już na posadzce obok niej. Gdy ich spojrzenia się spotkały, odwróciła wzrok ku zwłokom Txoriana.

— Najwidoczniej cierpienie zuribeltza, tak jak i biednego Txoriana, było bliższe oczyszczeniu — powiedziała z ciekawym uśmiechem.

Ciężkie drzwi po obu stronach areny zaczęły się otwierać. Poza służbą wyszedł z nich człowiek w czarnej szacie z płaszczem

utkanym z ludzkich kości zszytych srebrną nicią. Na twarzy miał hezurkaroiską kościaną maskę, lecz zamiast metalu głowę zakrywała błyszcząca czarna chusta. Kroczył wolno, a echo jego kroków odbijało się od marmuru na najwyższym piętrze.

Zatrzymał się przy ciele Txoriana i ostrożnie odpiął z jego pasa dziób zuribeltza. Następnie podszedł pod balkon i uniósł artefakt w stronę Królowej.

Erdene złączyła dłonie. Szybko rozłożyła je szerokim łukiem, wyszeptując coś, czego Zephyr nie zdołał usłyszeć, choć czuł, że słowa niosą się bezszelestnie ku sklepieniu areny. Po chwili jej wzrok wrócił na niego.

— Możesz wznieść się na to piętro. Pojedynek się zakończył.

Dafri uniosła go łagodnie ku górze. Zbroja Dolorána rozpadła się w locie na tysiące drobinek, które gasły i znikaly, nim dotknęły marmurowej posadzki balkonu.

Rycerze siedzieli jak posągi, nieruchomi, z opuszczonymi głowami, najpewniej przeżywając śmierć towarzysza. Światło pochodni odbijało się w ich kościanych maskach, nie mając wstępu do ich wnętrza.

Larethe podeszła do Erdene i wtuliła się w nią. Królowa pogłaskała ją po włosach, po czym spojrzała na Zephyra.

— Wierzę, że nie masz mi za złe, że ten prezent był tak niespodziewany i brutalny. — Jej głos był tak niewzruszony zdarzeniem, jakby mówiła o drobnym upominku. — Biedny Txorian zasłużył na swój los. Teraz jego pamięć, dawniej obciążona winą, została uwolniona, a cierpienie obdarzone wiecznością.

Traktujemy pojedynki jako jedną z dróg oczyszczenia i skrócenia przemijania...

Uśmiechnęła się subtelnie.

— Tak, jak ci mówiłam, drogi Zephyrze — śmierć jest tylko początkiem innej formy trwania na Zerythar.

Jej spojrzenie pozostało kojące, niemal czule — a jednak coś w nim sprawiało, że serce ścisnęło się Zephyrowi, jak gdyby uciskane niewidzialną dłonią. Z każdą chwilą coraz trudniej było mu odróżnić spokój od uległości. Właśnie zabił dla niej człowieka. A nawet uczynił więcej niż tylko to...

Erdene odwróciła się, przerywając ten trans. Po chwili tylko obejrzała się przez ramię.

— Chodźmy dalej.

Skinął głową i ruszył za nią bez słowa.

Larethe i pandy podążały obok, a rycerze powstali ze swoich miejsc dopiero, gdy orszak przeszedł zajmowane przez nich miejsca. Kroki odbijały się głucho od marmuru — jak echo brutalnej ceremonii, która najpewniej nigdy się nie kończyła w tym miejscu.

Pokonywali kolejne podobne do siebie korytarze. Erdene co pewien czas zatrzymywała się, wskazywała fragment ścian, kolumn lub rzeźbionych portali. Opowiadała mu o historii pałacu — o tym, kto go wznosił, kto przebudowywał, kto zmarł, w którym miejscu i gdzie sama za młodu miała jakieś ciekawsze przeżycia.

Mijali ludzi w czarno-białych i czarno-złotych dworskich szatach, przypominających te, które Zephyr widywał w miastach

Hezurii na Dwukontynencie. Nikt nie odzywał się ani do Królowej, ani do niego. Każdy, kto ich mijał, jedynie kłaniał się nisko, najwyraźniej z obawy, że ich spojrzenie mogłoby coś odsłonić lub zostać źle odebrane.

Wreszcie dotarli do wysokiej sali jak w gmachach świątyni. Ta galeria przypominała mu katedry Unaro umieszczone w dawnych przybytkach sakralnych czy te ogólnodostępne dla gawiedzi sale pałacowe ze starych obrazów, które miały uczyć plebs, jak wygląda potęga władzy.

Ściany pokrywały liczne malowidła, a w niszach między nimi stały rzeźby ludzi i stworzeń: część istniejących, a część mitycznych i wymarłych. Wśród wszystkich dzieł jeden obraz szczególnie przyciągał uwagę — ogromne płótno, tak rozległe, że zajmowało szerokość całej ściany naprzeciw wejścia.

Ramę z czarnego drewna, zdobioną srebrem, pokrywały motywy skrzydeł i kości. Farba połyskiwała w świetle pochodni i wpadającego przez wysokie okna światła, jakby jeszcze nie wyschła.

Rycerze zatrzymali się przy wejściu. Zephyr ruszył dalej za Erdene, jej dwiema pandami i Larethe. Stanęli przed ogromnym obrazem od jego prawej strony.

— To, co widzimy przed sobą, drogi Zephyrze, to obraz dwóch malarzy: Ardixu Gurnaretha i Joluena Metuhko, namalowany już na Zaihon. Zatytułowany *Hezur eta Minaizen Hasiera*. Jak wskazuje sama nazwa, mówi o genezie naszego pojmowania pamięci świata i historii naszego ludu. Łatwo się też domyślić, że o części tych rzeczy przeczytasz w *Kronice Czaszek*. Na pewno podczas lektury

będzie ci łatwiej pojąć pewne opisy, gdy ujrzysz je tutaj. Choć wiem, że zabieram ci tym samym możliwość pobudzenia fantazji.

Spojrzała na niego z tym samym ciepłym uśmiechem, by szybko wrócić wzrokiem na obraz. Zerknęła wysoko w górę i ciągnęła:

— Obraz ma wysokość dziewięciu i pół łokcia oraz szerokość pięćdziesięciu łokci. Został złożony z siedmiu ogromnych płócien zszytych ścięgnaми z karków wołów. Do wykonania malowideł użyto farb mineralnych i sproszkowanych metali — głównie srebra, hematytu i sprowadzanego z południa błękitnego azurytu. Powierzchnię zabezpieczono cienką warstwą żywicy *huratz*, dzięki czemu kolory nie blakną nawet w wilgotnym powietrzu. Mówi się, że każde płótno malowano osobno, w innym roku, by symbolicznie oddać czas, jaki dzielił etapy tej historii.

Zerknęła na Zephyra.

— Ukończono go w tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym roku po *Arimhezur*. Wiem, że w Unaro macie swój własny kalendarz, a każda kraina przed nim posiadała własny. Wolisz datę w kalendarzu Unaro czy Tusci, jakby nigdy nie wymarł?

Nie zdążył odpowiedzieć, a ona bez patrzenia na niego odparła:

— Trzydziesty trzeci rok Ery Unaro lub, jak wy to nazywacie, Jedności. Tyle o samym płótnie. Teraz zerknijmy w jego wnętrze. Jak zapewne wiesz — czytamy od prawej do lewej. Tak pismo jak i sztukę. Każde płótno symbolizuje więc jedną z faz naszego trwania. To jest pierwsza z nich.

Zephyr patrzył na ogromną czarną pustkę, na której rozproszone były refleksy bieli i pojedyncze szare kropki. Czarna ściana rozjaśniała się dopiero przy krawędzi kolejnego płótna.

— Zapewne się zastanawiasz, po co całe płótno poświęcać czerni? — spytała cicho. — To jest *pierwsza faza*. Początek wszystkiego. Najczystsze Pierwotne Minaiz. *Hutsa*, czyli Pustka.

Spuściła wzrok na niego. W jej oczach błyszczało coś nieznanego, a czern z obrazu zdawała się pulsować tak samo jak obwódki jej tęczówek. Nie dodała tu nic więcej.

— Dalej mamy *drugą fazę*. — Ruszyła powoli naprzód, a za nią on i Larethe. Pandy zostały z tyłu: Suun tarzała się po posadzce. Paar położył się z wysuniętym językiem i wyglądał, jakby zasypiał. Larethe także wydawała się znużona.

— Słodka Larethe. Możesz zostać z Suun i Paarem. Już raz cię chyba zanudziłam tą tyradą — zaproponowała matczynym tonem, a dziewczynka natychmiast się rozchmurzyła na tę propozycję.

— Urdinea! — zawołała potem ostrzej do rycerki, a jej głos odbił się echem po sali. — Przynieś trzy poduszki, by nie siedzieli na posadzce.

Posiadaczka pamięci litvorago lekko się skłoniła i opuściła galerię. Echo jej imienia jeszcze chwilę wibrowało między kolumnami, zanim ucichło.

— *Druga faza*. — Głos Erdene zmiekkł, jakby każde słowo wypowiadała z namaszczeniem, gdy tylko odzywała się do Zephyra. Spojrzeniem przyciągnęła jego uwagę, który była zwrócona to na Larethe, to na przygaszonych rycerzy stojących w cieniu.

— Z pustki zaczynają wyłaniać się kształty — mówiła ostrożnie — niepewne, a jednak ogromne. Majestatyczne, choć jeszcze bez

imienia. Pełne elegancji, nieznające życia ani śmierci. Nierozróżniające materii od innych form egzystencji.

Na płótnie ciemność rozjaśniała się. Między pociągnięciami srebra i bieli powoli kształtowały się zarysy stworzeń.

— Bytów było zapewne więcej, ale z naszej perspektywy ustępują tym, które tutaj widzisz i o których przeczytasz więcej w *Kronice Czaszek*. Są też takie, które były nieznane dla samych autorów obrazu czy kompletnie nieznane nikomu z nas.

Wskazała na jedną z bestii. Na płótnie dostrzegał jednak kolejne olbrzymie kościane stwory. Ich żebra tworzyły mosty, a kręgi kręgosłupów wznosiły się jak łuki gór.

— Po naszej śmierci zostaje tylko kość — a w tej wizji to świat zrodził kość z prochu i na niej naniósł formę.

Zephyr słuchał, a w myślach wróciła rozmowa z Nahuili o jej Bogu Zapomnienia, Xolatlu. *Może Xoxetecte mają podobny mit* — pomyślał.

Erdene ruszyła dalej. Zephyr podążył za nią, uważając, by nie dotknąć jej włosów. Zapach perfum — słodki, ciężki, nie z tego świata — prowadził go podobnie jak dźwięk, który pamięta się, choć nigdy go się nie słyszało.

— *Trzecia faza.* — Głos Erdene przybrał niemal uroczysty ton. — Bardzo ważna z perspektywy trwania Hezurkaroi. Karn'tul zostaje dotknięty przez pierwszego człowieka z ludu Arimhezur — Ludu Duszy i Kości.

Zawiesiła głos, a jej kąciki ust uniosły się.

— Wiedziałeś, że dawni ludzie byli bardziej... *plastyczni*? — Zaśmiała się cicho, nie tyle z żartu, co raczej z odległej myśli, której Zephyr nie rozumiał.

Spojrzał na płótno. Widział ludzi z czaszkami zamiast twarzy, stojących w kręgu wokół olbrzymiej, kościanej formy. W dłoniach trzymali świecące odłamki powyginanych kości — zapewne legendarne artefakty. Światło, które z nich biło, było chłodne, bladoniebieskie, jak odbicie księżyca w lodzie. Całość sceny doświetlana była przez jedno słońce.

— Piękne, prawda? — zapytała, patrząc na niego wpatzonego w górę. — *Pierwotne Minaizak* lub *Lehen Minaizak* — cząstki prapoczątku cierpienia, skupione w dłoniach ludzi, którzy cierpią, nie znając jeszcze siebie — ani materii, ani duszy. Splątani pamięcią świata, a jej pierwsza forma zamrożona w więzieniu materialnego przedmiotu. Wy w Unaro nazywacie te cząstki początku *aperoj*.

Zephyr przypomniał sobie ten termin, który niegdyś usłyszał z ust Eidolona w rozmowie z Marcusem Drususem. Erdene odwróciła głowę w jego stronę i spytała, wyrывая go z zamyślenia:

— Czego was uczą w Unaro o tym momencie narodzin świata?

Zawahał się. Prawda była gorzka i ciężko mu było ją wypowiedzieć.

— Unaro bada przeszłość — powiedział wreszcie — ale jednocześnie odcina się od niej. Jeśli mam odpowiedzieć, muszę cofnąć się dalej... Do mitologii moich przodków z Imperium Tusci.

Erdene milczała. Czekala.

— Najstarszą zachowaną frazą odpowiadającą waszym trzem fazom jest zdanie: *O Zerytharze, dąż do zjednania wszystkiego, co stworzyłeś, i pozwól trwać tym, których tym darem obłaskawiłeś.*

Wypowiadał słowa powoli, niemal rytualnie. Wiedział, że cytuje zwrot, który znał każdy religijny fanatyk, ale też kronikarz i historyk z korzenia Tusci — zdanie powtarzane tak często, że dawno utraciło pierwotny sens.

— Zawsze traktowano to jak modlitwę dziękczynną — dodał ciszej. — Ale teraz słyszę w tym coś innego. Nie prośbę. Nie w pełni jasny rozkaz świata dla samego siebie.

Zatrzymał wzrok na obrazie. W pamięci pojawiła się Isandra i ich rozmowy na statku o Erze Początku i Objawień — te, które zawsze kończyły się zbyt wcześnie. Nie ze strachu przekroczenia granicy między badaniem a wiarą. A zwyczajnym brakiem wiedzy.

Uznał, że musi spróbować z innej strony. Logika Unaro nie mogła dotknąć tego, co opowiadała Erdene — więc sięgnął po nauki swoich rodziców z Palatynum. Te o dawnych bogach.

— Mówiono, że w pustce istniał jeden boski byt — Unarus, Bóg Jedności — zasiadający na gwieżdzistym tronie. To on nadał światu pierwszy kształt. Z jego żeber narodziły się cztery żywioły: Piscisa, Jarag, Igninus i Eur. Tron nie wytrzymał ciężaru stworzenia — zapadł się i rozbił, a z odłamków powstało to, co nazywamy kosmosem, a jego elementy zostały objęte opieką kolejnych bogów.

Zrobił pauzę, nadal podziwiając obraz, raz po raz zerkając na Erdene.

— Unarus przestał być jednością w ciele, lecz pozostał w istocie — przez swoje przedłużenia, przez to, co w nim i poza nim trwało. Z tego rozpadu wyłonił się panteon. Bogowie, którzy powstałi z jego fragmentów, stworzyli ludzi, by oddawali im cześć. W zamian obdarzyli ich częstkami własnej pamięci — *memoria universipotens* — boskimi iskrami, które miały prowadzić Zerythar ku wieczności.

Kiedy skończył, Erdene cicho złożyła dłonie — na znak pieczęci dla jego słowa.

— Podobna mi się ta wersja — powiedziała z autentycznym zainteresowaniem. — Czytałam inną, z jakiejś książki przywiezionej z Nikyo. Wielu *Unaristoj* z Tusci, którzy trafili na Zaihon, mówiło o Unarusie jak o symbolicznym odbiciu Unaro. Pomijali pamięć w artefaktach, skupiając się na modlitwach i ofiarach. Wybrali religię, odrzucając wspomnienia. Podwójnie sprzeczne z waszą wspólnotą i jej wartościami — skończyła, a jej usta lekko drgnęły na wypowiedziane słowa.

— Moja matka była bardzo oddana czci Unarusowi i Eurowi — powiedział, nieco speszony. — A ja, jako młody Praktyk, nigdy nie szukałem w Unaro żadnej boskości tłumaczącej jego fenomen w strefie wykraczającej poza ludzkie pojęcie czy prawdy o *memoria*. Moja wersja pochodzi więc od szczerzej wyznawczyni, nie od uczonego.

Erdene spojrzała na niego z cieniem uśmiechu.

— Podejrzewam, że twoje nazwisko samo odpowiada na pytanie „dlaczego” i skąd gorliwość twojej matki w wierze do tych

dwóch bóstw — rzuciła z lekkością, w której brzmiały zarówno ironia, jak i życzliwość.

Zephyr odwrócił wzrok, czując, jak policzki robią mu się cieplejsze.

Szli dalej w głąb galerii. Po chwili ciężkie drzwi otworzyły się bezszelestnie i Urdinea stanęła w progu. Skłoniła się nisko przed Królową, po czym podeszła do pand i Larethe, by rozłożyć dla nich poduszki.

— *Czwarta faza* — podjęła Erdene. — Złoty okres Arimhezur. Ludzie po raz pierwszy próbują sami tworzyć pamięć i ujarzmić tę, którą przyniósł im świat. Przez słowo „ujarzmiać” rozumiem wiele terminów: pojmować, władać, studiować, trwać w niej, czuć, przemijać wraz z nią i zapewne wiele więcej.

Zephyr spojrzał na płótno i od razu rozpoznał znajome kształty. Budowle, formy prymitywnej sztuki i wreszcie coś bliskiego mitom: zuribeltza czy wśród innych bestii dziwne, półludzkie stwory prowadzone w Furukawie przez rycerza Jaunasko. Na obrazie ich ciała przypominały skręcone gałęzie i kości splecione z mięśniami.

— Czym są te przypominające ludzi potwory? — spytał, wskazując palcem wyżej.

— *Názgarak* — odpowiedziała melodyjnie, mimo że słowo brzmiało twardo. — Jedni z naszych przodków. Widzisz te biedactwa? Teraz najpewniej łatwiej będzie ci pojąć mój żart o „plastyce człowieka”.

Zephyr poczuł zimny dreszcz.

— To... to są ludzie? — zapytał, myśląc o tych, których zabił w Furukawie.

Erdene uniosła brew i zaśmiała się krótko, dźwiękiem bardziej chłodnym niż wesołym.

— Absolutnie nie. Potraktuj je raczej jak dzikie psy. Jaunasko spędza z nimi najwięcej czasu — mówi, że to najlepsze porównanie.

Nagle w jej oczach pojawił się błysk pomysłu.

— Itsarmin! — zawołała. — Przyprowadź któregoś *názgara*. Jaunasko na pewno zostawił część w pałacu.

Rycerz w saladzie skłonił się i, nic nie mówiąc, opuścił salę. Echo jego kroków odbiło się od marmurowych ścian galerii, jak zapowiedź czegoś, czego Zephyr wcale nie chciał zobaczyć.

— Wracając — podjęła Erdene, jakby kończyła rozdział w kronice — z końcem tej fazy ludzie zblądzieli. Weszli w konflikt, który trwa do dziś.

Spojrzała na niego uważnie.

— Jak rozumiesz pamięć świata, drogi Zephyrze? Tę zaklętą w materii?

Zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział:

— Odkąd przybyłem na Zaihon, widzę, że każdy z jego ludów pojmuję ją inaczej. I podejrzewam, że nawiązujesz właśnie do tego konfliktu.

Kiwnęła głową i nic nie powiedziała. On mówił dalej:

— Badacze Unaro skupiają się na *władztwie* nad pamięcią — na jej eksploracji i poznawaniu liniowym, wydobywaniu z niej efektu,

który można zmierzyć i wykorzystać. Ponoć istnieje więcej podejść, lecz nie było mi dane ich poznać.

Wziął krótki wdech i kontynuował:

— Zaihonczycy traktują pamięć jak *tchnienie* — coś, co trzeba podtrzymywać i poznawać powoli, bez konieczności strukturyzacji poznanej wiedzy, pozwalając, by sama przemówiła.

Spojrzał wreszcie na nią i wydusił niepewnie:

— A wy, Hezurkaroi... — zawahał się — zdaje się, że szukacie jej istoty w *bólu i przemijaniu*. Nie potrafię jeszcze zrozumieć dlaczego.

Milczała chwilę, aż wreszcie Zephyr sam dodał:

— Odkąd poznałem kilka osób na Zaihon... chyba najbliższemu mi dziś do wykładni Olorikaze.

Erdene zaśmiała się krótko z autentycznym rozbawieniem, ale i z czułością.

— Ach, Oli... Drzewiasty filozof, który bawi się w udawanie człowieka. Kocham go za to od zawsze. — Uśmiechnęła się, a jej oczy błysnęły wspomnieniem, które nie należało do teraźniejszości. — A jeśli chodzi o nasze pojmowanie — to jesteś blisko prawdy. A przynajmniej podstaw. Zaraz poznasz odpowiedź na swoje przypuszczenia.

Ruszyła dalej, a obraz znów się zmienił.

Przed nimi rozpościerał się ocean rozbitych twarzy — setki, tysiące fragmentów, z których jedne przypominały ludzi, inne coś zupełnie obcego. Między nimi sterczały skały w kształcie żeber, a między nimi rozlewały się pulsujący błękit i czern — jak krew

samej pamięci. Nad całością górowały dwa słońca, za którymi majaczył księżyc.

Zatrzymała się i mówiła cicho, z wyczuwalnym smutkiem:

— *Piąta faza* była odpowiedzią na tamten spór. Doszło do pęknięcia. Interpretatorzy mówią często o powtórzeniu cyklu rozłamu, którego nie sposób zrozumieć. Pierwsze pęknięcie miało nastąpić między drugą a trzecią fazą. To między piątą a szóstą. I to, jak je widzimy, zależy od tego, co ujrzymy i odczytamy.

Westchnęła, kończąc zdanie.

— Chciałabym ci opowiedzieć więcej, ale nawet Ossamer na to nie odpowiada. Pęknięcia zdają się czymś w rodzaju wyparcia, którego doświadcza każda istota próbująca bronić własnych wspomnień przed zagrożeniem. Autorzy obrazu zinterpretowali ten fragment pustki jako ciszę oniryczną — niemilczącą, lecz zawieszoną. Taką, w której zbyt wiele mówi sama forma i nie daje odpowiedzi wprost. Są to przebliski, fragmentaryczne obrazy zlezione w jeden. Kompletnie irracjonalne dla tego zjawiska.

Zephyr patrzył i nie pojmował, co widzi — ani w sensie sztuki, ani w sensie ich legendy.

— Rozszerzając twoje pojmowanie naszej wykładni pamięci świata — zaczęła powoli — to właśnie jest jej początek, choć pierwotne cierpienie trwa od samego początku istnienia Zerythar. Również od tego wydarzenia liczymy nasz czas. Przed i po Arimhezur.

Spojrzeli na siebie, a ona dodała:

— Tak jak powiedziałeś, drogi Zephyrze. Poszukujemy sensu w przemijaniu, a aktem bliskości z pamięcią świata staje się śmierć.

Rozróżniamy dwa podstawowe typy cierpienia, którymi jesteśmy obdarzeni od pierwszych dni naszego życia: *materialne* i *egzystencjalne*. Śmierć pozwala oczyścić się z tego pierwszego i wynieść drugie ku wieczności trwania. Stania się częścią pamięci bliskiej świata...

Zatrzymała się, zdając się celowo pomijać pewien fragment wykładu. Nieznaczny cień przeszedł jej przez twarz.

— O tym jednak dowiesz się więcej później.

Kiwnął głową i czekał, widząc, że chce coś jeszcze powiedzieć.

— Możliwe, że nasi protoplaści podążali inną ścieżką niż my. Nie mamy pewności mimo takiej bliskości ich wspomnień. Pozwolili nam jednak pojąć nasze rozumowanie pamięci świata. Ossamer pozwala nam ujrzeć ich dzieje, ale jak wspominałam, te wizje są ciężkie i przytłaczające. Nawet ja, gdy ich doświadczam, widzę obrazy i dźwięki, które do siebie nie zawsze pasują. Czytam jednak naturę tego, co widzę, wszystkimi sześcioma zmysłami. Tak czynili moi przodkowie i rody, które władały Hezurkaroi przed dynastią Hezurzainari.

Zawiesiła głos i dodała z cieńszym uśmiechem:

— Powinnam jednak dodać, że ja robię to najlepiej.

Nagle Erdene wybuchła śmiechem — gwałtownym, szczerym, niemal rozbrajającym. Zephyr aż się wzdrygnął; nie wiedział, czy to śmiech radości, czy znużenia jej własną powagą.

— Rozchmurzmy się — powiedziała z uśmiechem — i porozmawiajmy o czymś bliższym naszym czasom. O ile około dwa tysiące lat wstecz można nazwać bliskością. *Szósta faza*.

Ruszyli w stronę kolejnego płótna, ale zanim zdążyli podejść, drzwi galerii otworzyły się tym razem z przeciągłym skrzypnięciem.

Wszedł przez nie Itsarmin, prowadząc przed sobą názgara. Cztery łapy z chitynowym pancerzem, czarny materiał na torsie, biała płachta na głowie i pulsujący szarą poświatą okrąg na czole. Widok natychmiast przywołał w Zephyrze wspomnienie Furukawy — Yorin, Severiana, ich losu.

Larethe cofnęła się gwałtownie na poduszce na jego widok i odwróciła wzrok. Suun i Paar natychmiast stanęły przy niej, unosząc się na tylnych łapach. Ich futra nastroszyły się jak płomień, a rudy kolor połyskiwał w świetle pochodni, zaś ogony drżały z napięcia.

Wystawiły łapki przed siebie, jakby chciały zatrzymać coś niewidzialnego. Z ich gardel wydobyło się niskie, przerywane fuknięcie — dźwięk ostrzeżenia, nie ataku. Przypominały teraz miniaturowych strażników, śmiesznych i dzielnych zarazem, choć obie pandy trzęsły się z emocji.

Názgar nie reagował. Szedł powoli, ciężko, jakby jego ruchy należały do kogoś innego. Zatrzymał się przy Erdene. Rycerz skłonił się nisko i odszedł na swoje wcześniejsze miejsce przy wejściu.

W galerii zapadła cisza, gęsta i napięta — taka, w której każdy oddech wydawał się zbyt głośny, przerywany tylko krótkimi fuknięciami pand.

Erdene spojrzała czule na swoje pupile, jak matka na dzieci, które próbują być groźne.

— Suun i Paar nie lubią *názgarak* — powiedziała na widok ich reakcji. — Stawanie pand na tylnych łapkach ma sprawić, że napastnik się przestraszy ich siły. Słodkie, prawda?

Larethe głaskała już jedną z pand po karku, a Erdene odwróciła się do bestii.

— Co się tyczy tego biedaka... Wiesz, czemu noszą te czarne i białe szaty?

Jak zdążył się już przyzwyczaić tego dnia, ona nie czekała na jego odpowiedź.

— Ukrywają w nich swoje skrócone ciała i twarze. To pulsujące światło pod tkaniną — to jedyny sposób, by odczytać, co to coś czuje. I mówię coś z pełną świadomością, bo to nie jest ani zwierzę, ani człowiek. To błąd świata. Potwór.

Światło na czole *názgara* pozostało niezmienione, jakby nie rozumiał, że został znieważony.

Erdene przechyliła głowę, a w jej oczach błysnął żartobliwy cień. Podeszła bliżej potwora i sięgnęła dłonią ku jego głowie. Spytała nagle:

— Chcesz zobaczyć, co kryje się pod tymi szatami?

Zephyr wzdrygnął się, a ona zaśmiała się ponownie, dźwięcznie, niemal beztrósco.

— Widzę, że przeszedł cię lekki *dreszcz* na tę propozycję. To twój czwarty prezent — oznajmiła, rozbawiona jego reakcją. — Twój własny *názgar*. Nie martw się o wyżywienie. Służba się tym zajmie. Będzie czekał w twojej komnacie, gdy do niej wrócisz.

Skinęła dłonią, a Itsarmin bez słowa odprowadził *názgara*.

— *Szósta faza* — szepnęła.

To płótno różniło się od poprzednich. Nie było już symboliczne ani mistyczne — malowane w duchu realizmu. Nurtu, który próbował uchwycić świat takim, jakim jest, czyli bez upiększeń i metafor.

Wśród wielu scen jego uwagę przyciągnęła mapa. Ogromna, rozciągnięta przez całe dolne płótno, przedstawiała Dwukontynent z wyraźnie zaznaczonymi granicami dawnych krain. Widział znajome nazwy: *Imperium Tusci*, *Czaganat Tangów*, *Imperium Leszów*.

Zatrzymał wzrok na ostatnim z nich — na wschodnich rubieżach mapy, tam, gdzie zaczynały się znane mu pasma gór. Za nimi, na obszarze obecnie nazwanym wieloma innymi terminami, widniały trzy punkty i jeden wyraźny napis: *Dominat Hezurkaroi*.

Pod nim błyszczała srebrna gwiazda z mniejszym podpisem o tym samym brzmieniu. Symbol miasta nazwanego Hezurkaroi.

Zephyr wstrzymał oddech. Leżało niedaleko znanego mu miasta Anto, na tej mapie oznaczonego jako Antxo.

— Nasz lud trwał na Dwukontynencie przez ponad tysiąc osiemset lat — zaczęła spokojnie Erdene. — W waszej Erze Objawień, na skutek przepowiedni, odgradziliśmy się od reszty świata, wznosząc pasma gór znane dziś w waszym Unaro jako Góry Hezurskie. To jedno z ostatnich upamiętnień naszej cywilizacji, które Unaro zdecydowało się zachować poza nazwą regionu.

— Przepowiedni? — powtórzył Zephyr, nie kryjąc zaskoczenia.

Erdene spojrzała w górę, jakby chciała odczytać słowa z niewidzialnej tablicy. Jej głos przybrał ton recytacji:

Oto z zachodu nadciągnie wir, który w imieniu idei pochłonie wszystko.

Nie zważając na brzemień, które ze sobą niesie.

Strzeżcie się blasku oka wpisanego w dwie obręcze i ryku pięciu.

Albowiem by trwać, trzeba wycierpieć wiele na wodach nieskończonych.

I w tym bólu zostaniemy ułaskawieni przez trawiącą go pamięć.

Strzegąc jej po kres dni, aż nasze kości nie przemienią się w proch.

Mówiła to cicho, niemal z żalem.

— Wieszczka Erazneith Arkaiz, zwana Ślepą z Lirhaztu, żyjąca niegdyś w waszej Erze Objawień, nigdy się ponoć nie myliła.

Po chwili dodała:

— Dawni władcy Dominatu Hezurkaroi oblali łaską królewską dwa inne rody, z których narodziły się dwie krainy: *Odolhezurarte*, Bractwo Krwawej Kości oraz *Volkorda* — ziemia ludów górskich zamieszkujących poblize naszych dawnych granic.

— Te twory i góry miały stanowić bufor między nami a światem zewnętrznym. Nasi przodkowie zaś planowali, jak dopełnić przeznaczenia. A w samym tekście przepowiedni... była już zawarta odpowiedź. Pojawiła się też realna odpowiedź — wraz z *potworami z południa*.

— Tangowie? — szepnął Zephyr.

Erdene skinęła głową.

— Coś istniało za Nieskończonym Błękitem. Zaczęliśmy ślać statki we wszystkie strony świata. Poświęcaliśmy niezliczone minaizak, by tylko odnieść sukces.

— Wojny na Dwukontynencie toczyły się, a my trwaliśmy — chłonąc ból zadawany przez innych. Także tych, którzy chcieli do nas dotrzeć. W górach ginęli obcy, a winą za ich śmierć obarczano nasz lud. Ci, którym udało się przebić przez granicę, trafiali na nasze dwory i... już ich nie opuszczali. Statki, które dopływały do naszych brzegów, paliliśmy. Te, które ośmieliły się krążyć po naszych wodach, płądrowaliśmy. Żadnych świadków. Nikt nie mógł wiedzieć, co dokładnie robimy. W tych czynach faktycznie była nasza wina.

Westchnęła cicho, bardziej do siebie niż do niego:

— Oczywiście system nie był idealny. Zdarzały się przecieki. Ponoć w ten sposób jedna z wersji *Kroniki Czaszek* przedostała się poza nasze góry. Nie miało to jednak znaczenia. Do czasu...

Pokazała palcem na górną część płótna.

Tam widniał symbol z jej naszyjnika. Obok niego znak Unaro — pięciokąt wpisany między dwa okręgi ze swym wewnętrznym słońcem.

Pod nimi czarne sylwetki w zbrojach z popiołu i kości wnosiły na pokład statku mieniący się artefakt podpisany jako *Karn'tul*. Przypominał kość w kształcie serca, ze żłobieniami i wypustkami niczym pulsujące naczynie odpowiadające za ludzki krwiobieg.

Niżej ciągnęły się kolejne statki, a na ich pokłady wchodzili ludzie — setki, tysiące. Zephyr dostrzegł wśród nich wszystkie karnacje i stroje Dwukontynentu. Widział w tym nie tylko ucieczkę, ale i rozpaczliwą pielgrzymkę całych pokoleń różnych ludów.

Erdene mówiła za spokojnie, jak na kogoś, kto opowiada o dawnym kataklizmie:

— Moment spełnienia przepowiedni nadszedł... Najpierw fale ludzi zalewały nasze góry, błagających o azyl przed szaleństwem i płomieniem, który wybuchł na dalekim zachodzie. Ogniem trawiącym wszystko na swej drodze, przesuwającym się aż po nasze szczyty. *Ryk pięciu* był wyraźny. Krwawa wojna zaczęła się zgodnie z przewidywaniami mych dawnych przodków, a w portach zaczęło się targowanie przeznaczaniem za materialną walutę. Pustą. Obrzydliwą. Ci, co posiadali, mogli łatwiej wejść na statki. Ci biedni zostawali na pastwę tej pożogi.

Bez słowa ruszyła dalej, ku ostatniemu płótnu.

Przedstawiało Zaihon — taki, jaki Zephyr znalazł z map, z jednym wyjątkiem. W północnych pasmach gór widniały zaznaczone miasta: Furukawa, Yonkyo i jedno, którego nazwy nigdy dotąd nie słyszał — Hezurberrihiri — jedyna wyraźna spisana w języku hezari, a obok niej kilka mniejszych, ledwo czytelnych z poziomu posadzki.

Dookoła mapy rozsiane były symbole *Zhanshou*. Te same, które znalazł z masek *Kuramoku* oraz wizerunki wielu mitycznych i półmitycznych stworzeń. W tym *cupikaty*, *tairi* czy *kaiboki*. Na płótnie znalazło się jeszcze kilka innych scen z historii tego lądu, jak zagłada Gyo czy powstanie *Itsas-zaindari*.

— *Komuś* udało się dopłynąć przed tym szaleństwem na Zaihon — powiedziała ze smutnym uśmiechem. — Przekonać lokalnych mieszkańców do naszej racji. Do wizji potężnego zagrożenia, które spadnie i na nich, jeśli nie będą gotowi. Ich ląd był naturalną

fortecą. Ziemią Źródła i Obecności, gdzie pamięć świata oddycha nawet w każdej roślinie i kamieniu.

— Jak udało im się powiadomić tych na Dwukontynencie? — spytał Zephyr, czując, że to pytanie może być kluczowe także dla jego misji.

Erdene spojrzała na niego poważnie.

— Z wykorzystaniem Masek Niewyjaśnionych Wspomnień.

Zawiesiła głos. Same słowa zdawały się wymagać ofiary.

— Jeden cud za jedno życie. W tym wypadku kilka cudów za kilka istnień.

— Nie rozumiem... — wyszeptał, patrząc na nią w szoku. W pamięci powrócił mu widok Gyo, rozrywanego przez ziemię i wodę, gdy dzieci z przyszytymi maskami pojawiały się martwe przy odprawiającym coś w rodzaju magii zamaskowanym mężczyźnie. Lub też samego Neriusa i rozdarcie rzeczywistości, gdy ich ratował w Nikyo.

— Mój przodek, Litxurai — odparła spokojnie. — Najstarszy syn ostatniego króla Hezurkaroi z rodu Hezurzainari na Dwukontynencie. To on wraz ze swoją świętą jako pierwszy przybył na Zaihon.

Zephyr drgnął. Poznał to imię. Ten sam mężczyzna — ten, którego widział w wizji, gdy rytuałem zniszczył Gyo.

— On również był Berezi, a tak przynajmniej został wyróżniony pośmiertnie za odkrycie Zaihonu i dokonanie jednych z największych znanych cudów z maskami. Był traktowany jako jeden z najpotężniejszych członków dynastii Hezurzainari. Ponoć umiał wykorzystywać moc maski bez natychmiastowej utraty

własnego życia. Poświęcał za to życia innych, a swoje skracał, aby czynić liczne cuda tu na Zaihon, wsparty swoim niewiarygodnym i tajemniczym Pierwotnym Minaiz.

W tym miejscu Erdene spuściła oczy i niemal szeptała:

— Ostatni cud wymagał jednak ostatecznego poświęcenia... Siebie i życia wielu innych, by wyryc' na posadzce sali tronowej w Hezurkaroi jedną wiadomość:

Wycierpiąłem wiele na wodach nieskończonych. Tam, gdzie wschodzą słońca.

Cisza nie opuszczała pomieszczenia.

Nawet czerwone pandy nie poruszały się po posadzce — leżały spokojnie na poduszkach, zdając się same rozumieć wagę tych słów.

Erdene podniosła wzrok i wpatrywała się w ostatnie płótno, a w jej oczach odbijały się światła pochodni.

— Jego kości i minaiz dały fundament pod naszą przyszłość. Tak oto powstało Zhanshou. Sojusz Trzech Władców bojących się idei, którą w Unaro zwiecie Światłem lub Jednością.

IV

Minęło siedem dni od jego urodzin i pierwszych rozmów z Erdene.

Większość tego czasu spędzał w pokoju w samotności, czytając *Kronikę Czaszek* — powoli, próbując znaleźć w niej wszystkie informacje, o których rozmawiali przy obrazie *Hezur eta Minaizen Hasiera*.

Posiłki również jadał zawsze sam.

Służący wchodzili bez słowa, wykonywali swoje czynności według zapamiętanego schematu — sprząтали, wymieniali karafki, zapalali kadzidła, zostawiali wykwintne dania. Mógł ich również wzywać, gdy chciał — dzwonkiem, którego dźwięk roznosił się po pałacowych korytarzach bardzo donośnie. Robił to jednak niechętnie. Nie poczuwał się do tego, by ich wzywać.

Czasem przychodzący służący zostawiali dłużej, by „pomóc” mu z nowym lokatorem. Zephyr miał często wrażenie, że bardziej przyglądają się bestii niż jemu. Nie sprawdzali go, czy nie szpiegowali. Dając poczucie wolności w jego złotej klatce.

W komnacie towarzyszył mu podarowany przez Erdene nązgar, którego nazwał Nekono. Bestia zazwyczaj leżała pod fortepianem. Gdy wstawała, przechodziła na drugi koniec komnaty i kładła się przy szafie w świetle słońce wpadających przez okno. Oddychając miarowo, jak ktoś śpiący, lecz czuwający.

Kolor światła na czole Nekono był niemal zawsze szary jak przygaszony żar. W ciągu tygodnia uległ zmianie tylko trzy razy, kiedy był z nim sam.

W dniu swoich urodzin stało się to dwukrotnie, lecz wyłącznie drugi raz był świadomy tej zdolności. Niebieski blask pojawił się, gdy myślał przed snem o Yorin i reszcie, którzy pewnie wciąż szukali drogi ucieczki z Zaihonu i najpewniej jego samego. Myśl zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Wtedy już rozumiał, czym to się karmi — emocją, która gaśnie, zanim zdąży się rozrosnąć.

Trzeci raz światło zmieniło się siódmego dnia o świcie. Okrąg na czole Nekono rozjarzył się głęboką czerwienią. Nie była to złość ani zagrożenie. Raczej pożądanie — niechciane, a jednak znajome, podszyte dwukierunkową tęsknotą.

Ciało i głowa pamiętały, choć on próbował zapomnieć i wybrać jedną stronę. Fascynacja, pożądanie czy pragnienie nie odchodziły — krążyły w nim jak echo, które Nekono nie tylko wyczuwał, lecz zdawał się wzmacniać.

Zephyr, obserwując służących, zauważył, że światło Nekono rozpalalo się różnymi barwami, gdy człowiek niósł w sobie gniew albo lęk, choć starał się je ukryć na zewnątrz. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na prostą zależność: gdy osoba przeżywała to, co złe, bolesne, smutne czy depresyjne, to bestia pożerała te emocje. Wiedział jednak, że musiało być w tym coś więcej...

On sam czuł bezradność po ostatnim kontakcie z bestią. Otwierał okna, wpuszczając do komnaty mroźne powietrze gór. Wychodził na korytarze, które zdawały się nie mieć końca. Nic się jednak nie zmieniał.

Cały ten dzień nosił w sobie głębokie pragnienie jej, mimo że spędzili razem raptem jeden dzień.

Nie był wytwornym graczem w subtelnych pojedynkach emocji. Yorin nieraz zarzucała mu brak empatii i wrażliwości, choć zawsze nadrabiał reflekssem i wiedzą. Tym razem jego przeciwniczka była zbyt biegła i w tych aspektach. Erdene w jeden dzień zachwiała jego opanowaniem — i potrafiła to robić nawet wtedy, gdy nie było jej obok.

Pierwszym dowodem była noc, w którą naprawdę nie potrafił zasnąć. Pierwszy kontakt z głodem Nekono. Tamtego wieczoru, w dniu swoich urodzin, gdy Tintazar odprowadził go do komnaty po wizycie w galerii, czekał na niego również piąty prezent.

Stał na stoliku obok pełnej karafki wina z obiadu i *Kroniki Czaszek*. Dziennik mistrza Vilhelma — ten sam, który stracił w Nikyo. I ten, który na pewno przeczytała, co udowodniła mu podczas uczty. Powiew *nostalgii*. Obok leżała mała karteczka, zapisana w hezari charakterem pisma identycznym do szyfru znalezionej w Wieży Olorikaze:

Piąty i przedostatni prezent. Nostalgia niesiona w materii i cierpieniu.

Ponoć Unaristoj mają słabość do tych, którzy ich kształcą. Rozumiem to dobrze, bo ja darzę takim samym uczuciem Oliego i moją nieżyjącą już matkę.

Oddaję ci twoją własność, Zephyrze — jako przykład pamięci stworzonej ludzką ręką.

Erdene

Zrobiła to samo, co robiła cały dzień, nie będąc nawet przy nim...

List musiała napisać jeszcze przed ucztą. Wiedziała, jak zadziała. Wywołała w nim falę smutku, która wciągnie go głębiej niż wszystkie poprzednie słowa.

Próbował ćwiczeń oddechowych, przypominał sobie własne życiowe zasady. Wreszcie, jak szanować pamięć i jak nie pozwalać jej sobą rządzić. Nic nie pomagało.

Aż Nekono zaświecił pierwszy raz swoim niebieskim światłem i ulżył mu w tym uczuciu.

Erdene odebrała mu nawet prawo do czucia się źle. Trwał w błogiej bezsilności.

Z rana, po tych „ciężkich” siedmiu dniach, przysłała do niego Larethe.

Dziewczynka weszła skocznie do pokoju, lecz jej entuzjazm zgasł, gdy zobaczyła Nekono leżącego pod fortepianem.

— Boisz się ich? — spytał Zephyr, widząc jej reakcję.

— Nie — odpowiedziała cicho. — Po prostu nie lubię patrzeć, jak cierpią.

— Skąd wiesz, co to czuje?

Podniosła rękę i wskazała bursztynową spinę we włosach.

— Dostałam ją od mamy niedługo przed tym, gdy trafiłam na wasz statek. Już wtedy słyszałam z niej ciche dźwięki — takie, jakby coś w środku drżało. Pani Siostra powiedziała mi, że to *haizkar* — pamięć drzewa, które płakało, zanim zastygło. W bursztynie został jego ostatni oddech. Czasem odpowiadał, kiedy ktoś czuł ból, ale nie wiedziałam, co to znaczy.

Zerknęła na Nekono i dodała prawie szeptem:

— Teraz jest inaczej. Słucham uważnie. I te istoty czują dużo bólu. Nie lubię, jak Pani Siostra jest dla nich taka niemiła, ale mówiła, że tak musi być, bo inaczej umrą...

Zephyr patrzył na nią chwilę, trawiając jej słowa.

On i Isandra nawet nie wiedzieli, że na statku mieli jeszcze jedno memorio. Nikt nie wiedział lub nie chciał wiedzieć. Te „ciche dźwięki”, o których mówiła, pojawiały się wszędzie na Dwukontynencie, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Zwykle bzyczenie irytujące jak komary. Częstotliwości, z których nie dało się nic wyczytać i znaleźć łatwo ich źródła. A nawet jeśli komuś się udawało, to taki przedmiot przeważnie nie odpowiadał żadnym wyraźnym szeptem. O łasce lub klątwie nie wspominając.

Larethe odwróciła wzrok i powiedziała już pewniej:

— Pani Siostra zaprasza cię do siebie do komnaty na poranną kawę.

— Na co? — spytał, drapiąc się po głowie.

— To taki ekskluzywny napój. — Uśmiechnęła się. — Można go pić z ciastkiem. Ja go nie lubię, bo jest gorzki, ale Pani Siostra bardzo go lubi. Ubierz się i odśwież. Byłeś w łaźni?

— Wczoraj.

— Niech będzie — stwierdziła i poszła w stronę drzwi, po czym ostrożnie je zasunęła.

Po przebraniu się i spryskaniu słodko-dymnymi perfumami przeszedł z Larethe tym samym korytarzem co pierwszego dnia.

Mijający go ludzie kłaniali się nisko, choć nie czuł się godny ich ukłonów. Nadal nie pojmował, czemu jest tak traktowany.

W sali kolumnowej, przed wrotami do komnat Erdene, czekało kilku *Zaindarak*, czyli przybocznych będących członkami armii pałacowej, oraz dwaj rycerze z przyłbicami z czaszek — czarni rycerze z *Siedmiu Kości Minaizarak*.

Z *Kroniki Czaszek* dowiedział się, że każdy władca miał swoje przedłużenia w postaci siedmiu wojowników, wybranych, by dzierżyć pamięć mitycznych istot z czasów Arimhezur lub wcześniejszych. Szkolonych od dzieciństwa w jednym celu: stanąć przed Karn'tul i odnaleźć cierpienie sprzed Pęknięcia na *Ścianie Czaszek*.

Przechowywano tam czaszki i fragmenty istot, w których wciąż drgała pamięć sprzed drugiego rozbicia. Był to raczej skarbiec wspomnień niż zbrojownia.

Obecnie Erdene miała tylko sześć Kości: znanych z imion Tintazara, Jaunasko, Itsarmina, Ebrakara, Urdinę oraz jedną, której imienia jeszcze nie znał.

Tego ranka drzwi jej komnaty strzegli Tintazar i Jaunasko.

Gdy Zephyr podszedł, Jaunasko lekko się uklonił.

— Witam, panie Eurus. Jak się miewamy? Mam nadzieję, że mój nązgar nie sprawia kłopotów.

Larethe pociągnęła Zephyra ostrożnie i delikatnie za koszulę, jakby chciała, aby nie odpowiadał.

— Nic z tych rzeczy. Nadałem mu nawet imię — odparł spokojnie i chłodno.

Rycerze wymienili krótkie spojrzenie, po czym *Zaindarak* otworzyli wrota do jej komnat.

Służba rozsunęła ciężką kotarę, a on wszedł do środka.

Sala, w której ostatnio jadł obiad z Erdene, była pusta. Czarny marmurowy stół stał nieruchomo, a w kominku dawno wygasł ogień. Cały układ pokoju był taki jak pierwszego dnia pobytu w jej pałacu.

Przy podwójnych drzwiach za stołem czekała służba. Gdy go ujrzeli, natychmiast je otworzyli.

— Jaśnie Królowa zaprasza pana do swojej prywatnej komnaty. Przełknął ślinę, nie wiedząc, czego się spodziewać.

Ruszył przed siebie. I gdy tylko minął służbę, drzwi za nim zamknęły się bezszelestnie.

Korytarz był jasno oświetlony i prowadził wprost do kolejnych drzwi. Światło odbijało się od gładkich ścian, a jego kroki niosły się echem, które brzmiało jak rytm bicia serca. Zerkając za okna, dostrzegł, że to przejście wychodziło na zewnątrz bryły pałacu. Po obu stronach dało się dostrzec podobne przejścia łączące pałac z czymś na kształt baszt.

Na końcu drogi znajdowały się drzwi niemal identyczne jak poprzednie. Przy nich czuwał jeden nietypowy służący — w kościanej masce, szacie przylegającej do ciała.

Gdy Zephyr zbliżył się do niego, ten odezwał się spokojnym, głuchym głosem:

— Zephyr Eurus, Jaśnie Królowo.

Z wnętrza odpowiedział jej głos, chłodny i miękki zarazem:

— Wpuść go, Ostiarze.

Sługa otworzył jedno ze skrzydeł i gestem ręki wskazał, aby wkroczył do pokoju.

Owalna komnata rozciągała się szeroko i wysoko, niczym wewnątrz cylindra. Wysoki, spiczasty sufit wskazywał, że znajdowali się w jednej z wież pałacu widzianych z okna. Schody, wijące się przy ścianie, prowadziły na półpiętro, za którego balustradą kryły się rzędy zamkniętych szaf i skrzyń oraz biurko.

Niżej znajdowało się ogromne łóż z baldachimem, okryte białą tkaniną o delikatnym połysku. Przed nim dwa mniejsze posłania — gniazda dla pand, które właśnie smacznie tam spały, nie zwracając uwagi na przyjście Zephyra. Przy ścianach ciągnęły się półki pełne zwojów i ksiąg, a przy kominku stały dwa fotele, sofa, pufy i niski stolik. Płomień trząsał cicho, a ciepło podgrzewanej posadzki rozchodziło się po sali. W ostatniej pustej przestrzeni była też wodna balia do kąpieli, do której prowadziły drobne schodki.

W niszy po stronie drzwi płonęła smuga światła, odbijająca się od płyt z mlecznego kamienia. Tam właśnie Zephyr dostrzegł terrarium — misternie zbudowane naczynie z alabastrowych ram i przezroczystych płyt minerału. W środku poruszały się zielone modliszki, powoli, majestatycznie, jakby odtwarzały porządek natury w tej mikroskali. Światło ognia przesączało się przez szkło, nadając im barwę starego złota.

Na kredensie po przeciwnej stronie drzwi ustawiono kilka flakonów o żywicznym zapachu oraz kadzielnice opiumowe, które ponoć Królowa najbardziej lubiła.

Tuż przy meblu stał parawan z półprzezroczystych płyt przypominających tkanę kostną. Za nim majaczył cień tkanin i

ludzkiego kształtu — granica między prywatnością a publiczną ceremonią.

Otworzył usta, choć wcale nie chciał. Rumieniec rozlał się po twarzy jak u chłopca przylapanego na zbyt długim spojrzeniu.

Znad parawanu dostrzegł jej oczy — popielate, z czarnymi obręczami, pochłaniające każdy jego ruch. Zdobione założonymi pierścieniami dłonie były oparte o krawędź przesłony, a za nią światło przesączało się po konturach ciała, które powoli się poruszało.

Odwrócił wzrok niemal natychmiast.

— Może cię to zaskoczy, Zephyrze — powiedziała tonem, w którym brzmiały łagodność i wesołość zarazem — ale w tym miejscu, gdzie stoję, czasem zdarza się, że patrzy na mnie kilkanaście osób. Nieczęsto, bo nie lubię, gdy służba pomaga mi się ubierać. Czasem każą mi zakładać gorset, mimo mojej figury, czy panier na niektóre bale. Zdarzają się zatem chwile, kiedy nie mam wyboru. Szczególnie po kąpieli, gdy muszą mi pomóc z włosami.

Podeszła do krańca parawanu. Jej odkryta noga wysunęła się poza przysłonę, a palce dłoni sięgnęły czegoś zawieszonego na haczykach za nią. Po chwili uniosła dłoń ze srebrzysto-białą suknią, której materiał połyskiwał w świetle ognia jak tafla lodu.

— Ta? — spytała z lekkością, jakby chodziło o zupełną błahostkę.

Potem przeszła na drugą stronę parawanu i powtórzyła ruch. Tym razem w dłoni trzymała czarno-białą szatę o grubszym

splocie, mieniając się jak pióra ptaka, który zleciał z nieba w popiół.

— Czy ta?

Zephyr stał bokiem, zerkając tylko kątem oka.

Śmiech Erdene ponownie zabrzmiał miękko, prawie życzliwie, lecz w jego brzmieniu była nuta drwiny.

— Nie możesz nie patrzeć, kiedy pytam cię o zdanie — zdawała się z nim droczyć, udając złość. — Nigdy nie pomagałeś kobiecie się ubrać?

Nie odpowiadał. Przypomniawszy sobie znowu Isandrę, jej włosy spływające po ramionach na piersi. Tamten niezręczny wieczór w Gyo. Czuł, jak wstyd i wspomnienie ścierają się w nim nawzajem — rozchwianie, które nie wiedziało, czy uciec, czy zostać.

Po co ona to robi? Co chce tym osiągnąć? Myśli się w nim nawarstwiały z braku jakiegokolwiek zrozumienia dla jej kusicielskich zagrywek. W końcu powiedział cicho z nutą rezygnacji:

— Ta po prawej... z piórami.

— Świetny wybór — odparła miękko.

Unosząc ręce, wsunęła koszulę przez głowę jednym płynnym ruchem.

— Zadzwoń dzwonkiem przy stoliku. Dwa razy. Niech przygotują nasz poczęstunek. Mam nadzieję, że już jadłeś śniadanie — rzekła niemalże tym samym matczynym tonem co zawsze.

Kiwnął głową i ruszył tam, gdzie mu kazała.

Po tym, jak podniósł dzwonek, chwilę się wahał z jego użyciem. Wiedział, że w tej sytuacji nie ma większego wyboru. Wreszcie niechętnie z niego skorzystał. Dźwięk zabrzmiał czysto i długo, jakby echo rozlało się po całej wieży.

Zza parawanu dobiegał kolejny szelest tkaniny. Materiał sam wybierał, jak ma opaść. Kolejny był odgłos wiązania taśmy. Następnie czesania włosów. Wreszcie cisza — tylko ledwo słyszalny oddech i przesunięcia pierścieni po ramie parawanu.

Światło od kominka przesączało się przez półprzezroczyste płyty, rysując na nich cienie ramion i włosów.

Kiedy wyszła, Zephyr mimowolnie się wyprostował.

Miała na sobie tę czarno-białą suknię, którą wybrał. Czarna tkanina układała się w dolnej części w miękkie, ciężkie fałdy, przypominające pióra zatopione w cieniu. Górna warstwa była jasna, niemal srebrzysta — jakby utkana z porannej mgły. Materiał drżał przy każdym jej kroku, odbijając światło ognia w delikatnych refleksach.

Rękawy były szerokie, otwierane od łokci, zakończone na zgięciach wstążkami w kolorze popiołu. Na szyi miała cienką, grafitową wstęgę z drobnym kamieniem w kształcie łezki oraz swój naszyjnik z krzyżowym symbolem. Włosy dalej rozpuszczone, zdające się same ułożyć i niewymagające już szczytki, a na ciemnym pasemku wpiętą kościaną przypinkę osadzoną w ramie z białego złota.

Nie niosła na sobie zapachu kadzidel — jedynie tę samą słodką woń perfum, gęstą i powolną jak lejący się miód. Czuło się w niej nutę wanilii i czegoś drzewnego, co zostawało w powietrzu długo

po każdym jej ruchu. Było to ciepło nie z ognia, lecz ze skóry — zapach, który chciał się sam zapamiętać.

Każdy jej krok był spokojny, mierzony, a włosy podążały powoli za nią, jak za każdym razem, kiedy się poruszała.

Podeszła do niego i dotknęła dwoma palcami prawej dłoni jego piersi. Usłyszał w głowie krzyk Dolorána. Nagły i niespodziewany, jakby był wściekły na niego o coś, co się właśnie działo.

Jej gest był lekki, ale celowy — chcący sprawdzić, czy naprawdę oddycha. Rzuciła mu krótkie, kuszące spojrzenie i ruszyła w stronę terrarium.

— Widziałam, że patrzysz na mój mały eksperyment. Co wiesz o modliszkach?

— Przyznam, że niewiele — wydusił Zephyr, wciąż czując na skórze ciepło jej dotyku, choć koszula powinna je odgradzić. Podobnie jak echo krzyku Dolorána w głowie, które nie chciało zgasnąć.

— Chodź bliżej.

Skinęła dłonią. Zbliżył się. W terrarium, na cienkich gałązkach, siedziało kilka modliszek. Ich ciała nadal połyskiwały jak zielone szkło lub złoto od światła, a oczy poruszały się leniwie, jakby obserwowały nie ludzi, lecz sam czas.

— Chcesz je nakarmić? — spytała, a w jej głosie zabrzmiała dziecięca ekscytacja.

— Czym się dokładnie żywią? — zapytał, zaskoczony jej tonem i własnym zainteresowaniem tematem.

— Głównie innymi owadami. — Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od terrarium. — Teraz, zimą, ograniczam im

porcje. Chcę zobaczyć, jak długo potrafią powstrzymać głód. Otwórz tę szafkę. W środku znajdziesz słoiczki. Wybierz, który zechcesz.

Zrobił, jak kazała, i podszedł do wskazanego mebla.

W środku znalazł rzędy szklanych naczyń — w jednych pełzały pająki, w innych muchy, a w kilku, ku jego zdumieniu, inne modliszki. Były też motyle — duże, kolorowe, o skrzydłach jak płatki. To właśnie ich było mu najbardziej żal.

— Co dalej? — spytał, podłapując jej dziecięcy ton i biorąc pojemnik z muchami.

— Uchyl wieko blisko tego otworu. — Pokazała mu miejsce w naczyniu i tak uczynił.

Dwie muchy wyleciały ze słoika i zaczęły krążyć nad gałązkami.

— Ta szykuje się do skoku — powiedziała skupiona.

Jedna z much zbliżyła się zbyt nisko. Modliszka poruszyła się niemal niezauważalnie — Zephyr dostrzegł tylko lekkie drgnięcie przednich odnóży, jak napięcie sprężyny.

Potem nastąpił ruch tak szybki, że nie zdążył mrugnąć. Owada pochwytyły kolczaste odnóża, które zatrzasnęły się wokół ofiary z niesłychaną precyzją.

Muchę uniesiono w powietrze. Jej skrzydła drżały jeszcze przez chwilę, aż dźwięk ustał. Modliszka trwała w bezruchu, z pochyloną głową, jakby modliła się nad ofiarą, zanim zaczęła jeść.

Zephyr poczuł, że obserwuje coś nieprzyzwoicie intymnego — nie akt przemocy, lecz rytuał natury, która nie zna litości.

— Co dokładnie badasz? — spytał wreszcie.

— Pewną zależność biologiczną — odparła. — Ale powiem ci o niej, gdy przyjdzie pora.

Odchyliła się od terrarium, gdy do pokoju dobiegło pukanie, a zaraz potem głos zza drzwi:

— Wszystko gotowe, Jaśnie Królowo. Gość przybył. Oprócz tego przed drzwiami czeka Harzan z dokumentami.

Zephyr przygryzł wargę. Najwyraźniej kolejna z jej gier właśnie wchodziła w życie.

Suun i Paar zerwały się z miejsca i podbiegły do Erdene. Drzwi jej komnaty otworzyły się szeroko; obok Ostiara stał drugi mężczyzna w masce z ludzkiej kości, trzymający stos zwojów.

Erdene westchnęła na jego widok i rzuciła, idąc w stronę drzwi:

— Jak zawsze, Harzanie. Połóż je na piętrze.

Mężczyzna uklonił się i ruszył ku schodom, by ustąpić jej drogi. Zephyr ruszył za nią, ale zatrzymała go tym samym gestem co wcześniej — dwoma palcami prawej dłoni przyciśniętymi do piersi. Dolorán znowu zareagował tak samo.

— Poczekaj tutaj, zanim dołączysz. — Jej ton był miękki, ale nie znosił sprzeciwu. — Muszę przygotować naszego gościa na twoje przybycie. Ostiar cię niedługo wezwie.

Potem dodała głośniejszym głosem, do mężczyzny wspinającego się po schodach:

— Harzanie. Zostań przez chwilę z Zephyrem.

Podwładny uklonił się i pospiesznie ruszył na górę.

Drzwi za nią zamknęły się cicho, zostawiając po niej tylko gęsty zapach słodczy. A on znowu to czuł — niepotrzebne i napływające pożądanie.

Nekono w jego komnacie tylko potęgowałby pragnienie. Tutaj wystarczyło jedno spojrzenie Erdene, aby poczuł to samo. Walczył więc sam ze sobą, aż zadrżał wewnętrzny głos Dolorána.

— *Możesz przestać robić to, co robisz?* — syknął Dolorán, wyraźnie zirytowany.

— *Próbuję...* — wyszeptał Zephyr, jakby tłumaczył się przed własnym cieniem. — *A ty nie musiałeś tak krzyczeć, jak mnie dotknęła. Widzę, co się dzieje.*

— *Krzyczeć?* — zdziwił się Dolorán i wypalił po namyśle:

— *Nie zmieniaj tematu! To jest wiedźma! Nie trawię jej. Pan Munjo też jej nie trawi, a Dafri prycha na samo spojrzenie na nią. Najchętniej by ją podrapała.*

— *Rozumiem...* — odpowiedział Zephyr, mniej przekonany niż brzmiało to na zewnątrz.

— *Nieprawda.* — Dolorán skrzył się sarkazmem. — *Może nie znam twoich wszystkich myśli, ale tak jak paskuda Eidolon czuję dużo z tego, co ty czujesz.*

Nagle padło pytanie, które uderzyło mocniej niż cios:

— *A co o tym pomyśli twoja dziewczyna?*

Wspomnienie Yorin wpadło w niego brutalnie — jej spokojne, duże oczy, drobne gesty. Ciepło i bliskość, które dawała mu bez słów. Obraz rozmył się w jednym wdechu słodkiego powietrza w pokoju. Oczy Erdene świeciły i pochłaniały jego wyobraźnię.

— *Masz rację...* — przyznał głucho.

— *Dobrze. Musisz w końcu przyjść i pobawić się ze mną.* — Dolorán zaśmiał się szyderczo. — *Chyba wpuszczę tu nawet Gwizdka, a wtedy twoja głowa może nie wytrzymać i... wybuchnie!*

Po tych słowach zapadła ciężka i napastliwa cisza. Nie wiedział, ile trwała. Nawet nie zauważył, jak niejaki Harzan stał już przy nim. Zaczął przyciszonym głosem:

— Panie Eurus... jeśli mogę spytać... — Harzan zawahał się, a maska na jego twarzy poruszyła się lekko. — Słyszałem, że potrafi pan znikać. Czemu pan stąd nie uciekł?

Pytanie zmroziło Zephyra.

Nie sam pomyśl — ten rozważał wielokrotnie — lecz jego źródło.

Nie miał mapy, przewodnika ani pewności, czy górskie korytarze nie zmieniają się z jej woli lub nie czają się w nich pułapki.

Postanowił więc nie uciekać, dopóki nie dowie się więcej. Jego pobyt w pałacu prawdopodobnie gwarantował mieszkańcom Gyo bezpieczeństwo. W końcu to mu obiecała jako jego pierwszy urodzinowy prezent. Dodatkowo mógł zwiedzać pałac i co jakiś czas wychodził ze swej komnaty, mimo skupienia się na chłonięciu *Kroniki Czaszek*. Głównym źródłem wiedzy była jednak ona. I planował wykorzystać te źródła, aby odkryć jak najwięcej jej sekretów niezbędnych do opuszczenia Zaihonu przez ludzi z kolonii.

Wiedział w planie Erdene jedną potężną wadę: ona nie wierzyła, że może przegrać. Karmiła jego ciekawość, kusila wiedzą, przedmiotami, sobą — wszystko po to, by utrzymać jego uwagę w dalej nieznanym mu celu.

Wiedział, że jeśli zdoła oprzeć się pożądaniu i tej osobliwej fascynacji, może ją przechytrzyć.

Samo pytanie niejakiego Harzana też musiało być ustawione. Postanowił odegrać swoją rolę.

— Nie muszę — odpowiedział z pozornym spokojem. — Przy waszej Pani czuję się dobrze. Poza tym obiecała mi, że nikomu z moich bliskich nie stanie się krzywda, dopóki z nią jestem. Nie widzę powodu, by opuszczać jej stronę.

Harzan nie odpowiedział. Przez chwilę stał nieruchomo, jakby próbował zrozumieć, czy to, co usłyszał, miało w sobie choć odrobinę prawdy. W końcu chrząknął, jakby chciał coś z siebie strząsnąć.

— Rozumiem. Pan też jej uległ... Najjaśniejsza ma ten dar od dziecka — powiedział cicho. — Jej urok... bez pamięci świata.

Zawahał się, po czym dodał:

— Jako że jestem usytuowany wyżej, mogę to panu zdradzić. Prawie wszyscy z *Goiko Zirkua* ją ubóstwiają. Niektórzy tak bardzo, że pragną uciec — tylko po to, by nie czuć wiecznego bólu niespełnienia. Ale nie mają odwagi. Najjaśniejsza lubi sprawdzać naszą lojalność w sposób nieszablonowy. Wszyscy wiedzą, że każda, nawet niezamierzona furtka ku wolności może być wejściem w jej sidła.

Zephyr przyjrzał mu się uważnie.

— Niespełnienia?

— Zgadza się. Widzi pan. Najjaśniejsza ma już za sobą dwadzieścia pięć wiosen. W dawnej tradycji powinna już mieć chociaż wyznaczonego małżonka z Wyższego Kręgu. Ona jednak unika tematu. Starszyzna i wieszczę się martwią o ciągłość rodu mimo cichej nadziei w... jej młodszym bracie.

Informacja o bracie była pouczająca. Celowość przecieku musiała być jednak sprawdzona później.

— Próbowaleś uciec, skoro tyle o tym wiesz? — spytał go wreszcie Zephyr.

— Tak — odpowiedział podłamany Harzan, jeszcze ciszej. — Bo opierałem się temu urokowi. Moja żona spotkała się z jej gniewem, choć to ja byłem winny. Miała to być kara... za zdradę jej osoby.

Szlachcic przełknął ślinę.

— „Skoro nie doceniam jej, to jakim prawem mam doceniać moją kochaną żonę?”. Wtedy —

Nie dokończył. Drzwi otworzyły się szeroko z głuchym echem. Ostiar stanął w progu, a jego maska połyskiwała w świetle ognia.

— Może pan dołączyć do Jaśnie Królowej, panie Eurus — oznajmił bez cienia emocji.

Harzan tylko lekko się uklonił i ruszył za Zephyrem już bez słowa. Idąc za nim, Zephyr zauważył jeszcze jedno. Większość mieszkańców pałacu stanowili mężczyźni. Poza Larethe i Urdinę widywał tylko pojedyncze służki. Przeważali jednak mężczyźni.

Kiedy przekroczył drugie drzwi, Harzan tylko skłonił się nisko i odszedł w stronę bocznego wejścia po prawej.

Zephyr ruszył prosto przed siebie.

Przy rozpalonym kominku dostrzegł ją — siedziała na sofie, śmiejąc się z czegoś cicho, z tą samą subtelnością w ruchach co zawsze.

Jej rozmówca siedział tyłem. Drugi fotel, stojący naprzeciw, zniknął z pokoju.

Kiedy Erdene spojrzała w jego stronę, uśmiechnęła się tak, jakby to spotkanie było jej dawno zaplanowanym spektaklem. Ku jego zaskoczeniu, przemówiła w zai:

— Jest i mój drugi gość.

Mężczyzna na fotelu wstał.

Miał na sobie ciężkie, bogato zdobione szaty w odcieniach ciemnego granatu i złota. Na ramionach spływały szerokie pasy haftowane w motywy słońc i księżyca, a na piersi połyskiwał okrągły emblemat jego rodu. Rękawy lekko podwinięte, praktycznie mogły zasłaniać dłonie, zostawiając jedynie widoczne końce palców. Przy każdym ruchu tkanina szeleściła jak jedwabne skrzydła.

Na dłoniach błyszczały pierścienie z białego jadeitu, a włosy, gładko związane w wysoki węzeł, podtrzymywała złota spinka w kształcie ptaka o rozłożystych skrzydłach.

Na widok Zephyra jego usta i powieki drgnęły, ale gładka twarz pozostała spokojna — niczym maska cesarskiej dyscypliny.

Erdene przemówiła melodyjnie:

— Drogi Sokaze, poznaj Zephyra Eurusa, obecnie Protektaro misji Unaro na Zaihon.

— Drogi Zephyrze, poznaj mojego nowopoznanego gościa. Sokaze Aorina — Yukensoo Tenrina, Denraia, następcę tronu Cesarstwa Zaihonu.

Mężczyźni patrzyli na siebie chwilę w milczeniu. Obaj zdawali się nie wiedzieć, jak na to reagować.

Erdene obserwowała ich z zadowoleniem, a w oczach miała błysk kolekcjonerki, która w końcu ustawiła obok siebie dwa rzadkie okazy.

V

Erdene siedziała na sofie, a obaj mężczyźni stali — i choć nikt się nie odzywał, ich postawa i napięcie w komnacie wyznaczały granice między nimi lepiej niż słowa.

Obaj goście nie wiedzieli, jak się zachować w tak nietypowym układzie. Sokaze miał splecione dłonie przy pasie.

Zephyr trzymał swoje zaciśnięte przy bokach. Zaczął analizować.

Najpierw otoczenie. Fotel, który wcześniej stał przy sofie, zniknął. Nie był to przypadek. Ktoś, zapewne gospodyni tego spotkania, zaplanował ten brak z precyzją. Nie trzeba znać się na dyplomacji, aby wiedzieć, że miejsce obok władczyni jest przywilejem równym jej randze. W tej sali taki gest był jak wypowiedzenie wojny etykiecie. A skoro drugi fotel już zajęto...

Potem kolejność przedstawienia. Erdene przedstawiła go przed dziedzicem tronu — kolejny policzek. I tym razem wymierzony w Sokaze. Powinna zrobić odwrotnie, zachowując hierarchię ważności swoich gości.

O samej swojej obecności Zephyr nawet nie wspominał. Nie powinien tu nawet być. Więcej — nie ostrzegła go, że nie będą sami.

Wreszcie wyszedł z jej sypialni...

Wiedział też, że powinien się uklonąć. Przy Erdene tego nie zrobił, bo nie wymagała tego od niego. Formalnie przedstawiła mu

się podczas prywatnej audiencji. Tym razem zaskoczyła go nowoprzybyłym uczestnikiem ich „porannej kawy”. Nie wiedział, kim jest jej gość, dopóki go nie przedstawiła — nie znał żadnych oficjalnych wizerunków Tenrina ani jego wnuka.

Ich spojrzenia spotkały się. To samo w sobie było afrontem.

Spotkanie tej rangi nie powinno mieć miejsca w prywatnych komnatach, jeśli osoby się nie znają. Można było to traktować jako ukłon z jej strony, ale wiedział, że w jej przypadku musi być to podszyte kolejną zwinną intrygą.

Nawet jego strój zdradzał, że Denrai Sokaze Aorin oczekiwał innej formy spotkania. Czegoś w rodzaju audiencji, skoro sam nie był jeszcze cesarzem. Jego odzienie zdradzało formalną ceremonię. Jej — swobodę.

Wszystko wyglądało tak, aby ustawić jej „ważniejszego” gościa w niemal upokarzającej pozycji.

Erdene wreszcie uznała, że nadszedł czas przełamania impasu. Poprawiła się powoli na sofie, jakby samym ruchem chciała zakończyć milczenie. Zephyr skinął głową i lekko się uklonił przed dziedzicem Zaihonu, lecz Sokaze pozostał nieruchomy — jego bezruch był równie wymownym gestem.

— Szanowni goście, usiądźcie.

Jej głos był łagodny, ale stanowczy dla dodatkowego napięcia.

— Drogi Zephyrze — dodała, po czym położyła lewą dłoń na sofie, tuż obok siebie.

Dziedzic drgnął, stojąc już odwrócony w jej stronę. Zephyr wychwycił natychmiast z profilu Sokaze ruch: z początku tylko

drgnęła mu powieka, potem linia szczęki — drobnym, niemal niedostrzegalnym skurczem.

Spojrzenie dziedzica przeskoczyło szybko z niej ponownie na Zephyra; było gniewne i niepoahamowane.

Zephyr podszedł. Każdy krok wydawał mu się głośniejszy od poprzedniego. Przysiadł obok niej, zachowując możliwie największy dystans, na jaki pozwalały krawędź siedziska i jego oparcie. Nie mógł tak łatwo dać jej satysfakcji.

Sokaze usiadł z pośpiechem — niemal w tym samym momencie, jakby bał się spóźnić.

Erdene rozsiała się wygodniej, splatając dłonie na założonych kolanach.

— Skoro już siedzimy, zjedzmy poranny deser.

Sięgnęła po mały dzwonek ze srebrnym uchwytem. Jego delikatne dźwięki odbiły się od ścian i zniknęły w ciszy.

Z bocznych drzwi wyłoniło się dwóch służących.

Pierwszy niósł tacę z porcelanową zastawą i słodyczami, drugi — mosiężny dzban z parującym gorzkim aromatem naparem oraz małą niską otwartą skrzynkę z dodatkami: dzbanuszką mleka, naczyniem z cukrem, małymi karafkami miodów i głębszymi talerzykami z przyprawami.

Zapachy mieszały się — nowy, nieznany napar, słodycz miodu, różnych przypraw korzennych i waniliowej nuty.

Służący ustawili wszystko na niskim stoliku między sofą a fotelem. Potem jeden z nich klęknął, by rozpocząć przygotowanie napojów.

Drugi w tym czasie układał porcelanowe talerzyki z drobnymi ciastkami, zdając się tworzyć tylko mu znany wzór z przyniesionych smakołyków.

Erdene obserwowała ich bez słowa, oparłszy policzek na dłoni.

— W Cesarstwie Zaihonu zwyczaj każe, by herbata była pierwszym słowem rozmowy — powiedziała miękko. — Ale ja wolę pić kawę, więc zmienimy serwowany napar. Pozwolisz, Sokaze, że przełamie ten konwenans.

W jej tonie nie było pytania, tylko deklaracja. Sokaze uniósł brew i skinął dłonią — gestem pozornej zgody, który w rzeczywistości oznaczał: „zauważyłem”.

Królowa nieznacznie wskazała na dziedzica, patrząc na stolik i służącego rozkładającego smakołyki:

— Kawa z mlekiem, wanilią i miodem bambusowym — powiedział tonem rozdrażnionym, który Zephyr zdawał się już kiedyś słyszeć.

Służący, klęcząc, zaczął przygotowywać napój. Najpierw wlał do czarki odrobinę ciemnego miodu, potem zalał go czarnym naparem, następnie mlekiem, by na koniec sprószyć powierzchnię czarnym proszkiem. Drugi podał mu spodek z filiżanką o srebrnym rancie.

— Zephyrze? — spytała łagodnie.

— Wybacz, Jaśnie Królowo, ale... nigdy nie piłem kawy.

Sokaze prychnął cicho, przekładając nogę na nogę. Erdene nie zareagowała. Nie spojrzała na niego nawet na ułamek sekundy, odkąd siedli. Nawet gdy na niego wskazała. Najwyraźniej ten dźwięk nie był wart zauważenia.

Delikatnie zaczęła wyjaśniać:

— To napój z palonych pestek małego czerwonego owocu krzewu zwanego kawowcem. Zaparza się go w miedzianych naczyniach. Ostrożnie, bo zbyt szybkie lub zbyt długie zalanie psuje smak. Niektórzy piją go dla zdrowia, inni twierdzą, że rozjaśnia myśli i odpędza sen. Dla mnie jest po prostu... ciekawy. Trudny do opisanía, gdy go piję, a jednocześnie prosty — gorzki.

Skinęła dłonią do sługi i dodała chłodniejszym tonem:

— Podstaw nam dzban.

Służący nie wstał z kolan, chwycił naczynie ze wszelką ostrożnością i podstawił je między Erdene i Zephyra. Zapach unosił się blisko nich.

— Schyl się, Zephyrze. — Zachęciła go i nie miał wyboru. Zbliżyli się wspólnie do dzbanka, niemalże stykając się policzkami, by powąchać napar.

— Czujesz to? Nie ma w nim łagodności jak w herbacie. Smakuje ogniem i ziemią, ale daje spokój. Wszystko zależy od tego, jak długo ziarna palono i skąd pochodzą. Te z południa Zaihonu są łagodniejsze — pachną suszonymi owocami i dymem. Te z północy mają aromat cięższy, prawie gorzki.

Zerknęli na siebie. Erdene uśmiechnęła się serdecznie, widząc, że i Zephyr uczynił to samo. Mówiła dalej z tą samą lekkością:

— Tutaj mamy ziarna ciemne z posmakiem czekolady. Oryginalnie pochodziły z Xoxetecte. Niegdyś na Zaihon przybyli rozbitkowie — zanim powstały Itsas-zaindari — i to im zawdzięczamy dzisiejszy napój. Opowiadali, że rosły tam, gdzie ziemia jest pełna popiołu po dawnych erupcjach wulkanicznych.

Po skinieniu ręką służący zabrał dzbanek, a oni się odchylili.

— Ten sam ogień, który palił korzenie, teraz daje ten zapach i smak. Na szczęście na Zaihon również są takie tereny — i nasiona udało się zaadaptować.

Oparła się wygodnie i zadowolona spojrzała na Zephyra, po czym zaproponowała:

— Spróbuj najpierw samego naparu. W kawie nie chodzi tylko o jej unikatowe nuty smakowe, lecz o to, czy potrafisz znieść jej gorycz bez grymasu. Wiele osób rozcieńcza go innymi dodatkami. Mlekiem, miodem, przyprawami. Ale po co psuć coś, co już w sobie ma niezliczoną liczbę doznań? Niektórzy z moich moźnych mówią, że mój przydomek Berezi wziął się stąd, że piję czystą, czarną kawę. — Zaśmiała się po tych słowach.

— Bardzo chętnie — odparł spokojnie Zephyr, zerkając na coraz bardziej rozjuszzonego Sokaze. Ponowny policzek został w niego wymierzony.

— Dwie czarne kawy, bez żadnych dodatków — podsumowała Erdene, zadowolona z wyboru Zephyra.

Służący na klęczkach spełnił jej rozkaz. Najpierw podał filiżankę Zephyrowi, potem Erdene. Jej różniła się tylko rozmiarem — była nieco większa, niczym dla podkreślenia, że nawet w tej prostej, zdawałoby się, czynności przysługuje jej więcej i bycie ostatnią nie oznacza, że jest gorsza.

Wszyscy rozsiedli się wygodnie. Każde z nich trzymało filiżankę w obu dłoniach. Królowa Hezurkaroi napiła się pierwsza, bez pośpiechu, z zamkniętymi oczami. Sokaze dopiero po niej, a w ślad za nim Zephyr.

Smak był gorzki, gęsty, z nutą czegoś mu nieznanego. Ciepło przeszło mu gardło, a język na moment zapiekł. Nie wiedział, czym jest czekolada, ale ta dziwna nuta faktycznie przypominała popiół po ogniu — przyjemny i ciężki zarazem. Napar mu smakował.

— Widzę, że ci smakuje, Zephyrze — rzekła zadowolona, widząc, jak przymyka oczy. — Jak twoja kawa, drogi Sokaze?

— Wyborna, Wasza Wysokość — odparł, próbując nadać głosowi dumę.

Erdene trzymała filiżankę i wreszcie zatrzymała spojrzenie na dziedzicu Zaihonu. Powiedziała cicho, z przesadną łagodnością:

— Rozumiem, że twój dziadek nie wie nic o tym, że tu jesteś. Tak jak prosiłam?

— Absolutnie. Ten starzec i tak ledwo rozumie, co się dzieje dookoła niego — parsknął Sokaze, patrząc w jej popielate oczy, po czym zaczął mierzyć wzrokiem Zephyra. Z nutą wymuszonego oburzenia westchnął i dodał:

— I przyznam wprost, Wasza Wysokość. Czuję się... urażony. Na zaproszeniu była mowa o poznaniu wyłącznie *ciebie*, o Kaiganrinie. Nie było słowa o przebywaniu w towarzystwie podżegacza wojennego i najbardziej niebezpiecznego cudzoziemca na Zaihon.

— Mój drogi Sokaze — odparła miękko Erdene. — Potraktuj *mojego* Zephyra jak niegroźnego drapieźnika na aksamitnej smyczy w poślaczonym kagańcu. Odrobinę zagubionego na tym pastwisku, które wszyscy zwiemy Zaihonem. Wszystkie owieczki, które na nim żyją, nie mają powodu, aby się go lękać.

Zerknęła na Zephyra z uśmiechem i dodała czule:

— I powiem ci, drogi Zephyrze, że nie rozumiem, skąd te głosy o niebezpieczeństwie z twojej strony.

— To dlatego, że Wasza Wysokość nie opuszcza swojego miasta i tych gór — odpowiedział z udawaną grzecznością, przykuwając ponownie jej uwagę. — Cały Zaihon płonie z powodu zamieszek, które wywołali ci cudzoziemcy na czele z tym osobnikiem. Gdyby nie nasze Shinkyō, rebelianci wdarliby się i pod mury twojego pałacu.

Zephyr nie wytrzymał:

— Płonie nie tylko przez nas, ale i przez waszych własnych rodaków, którzy zaatakowali moich pobratymców i mszczą się na swoich za to, że działają zgodnie z wolą własnej filozofii. Ziarno psuje się od plew i powinno się je od nich oddzielić — jak lubicie mawiać.

— Grzeczniej — syknął Sokaze.

Ton, którym to powiedział, oraz słowo, którego użył, nie pozostawiały mu złudzeń co do „drugiej” tożsamości gościa. Kojarzył go. Poznał już wcześniej — w palarni w Shokyo, w noc opuszczenia miasta na przyjęciu pożegnalnym, szukając towarzyszy na spotkanie w Ogrodach Shinrina. I jeśli dobrze rozumiał wnioski po ostatnim spotkaniu w Gyo, to był to...

Dziedzic prychnął pogardliwie:

— Tak jak wspomniałem. To potwarz dla mnie i dla mojego rodu, że pospolity przestępca siedzi z nami i śmie mówić jak z równymi. Do tego tym tonem.

Erdene powoli upijała kawę, nie odrywając tym razem wzroku od Zephyra.

Widział to kątem oka — oczekiwała od niego reakcji.

— Skoro zostałem zaproszony, to znaczy, że gospodarz akceptuje moją obecność — powiedział pewnie. — Nie wiem, czy szanowny Denrai zauważył, ale to spotkanie nie ma oficjalnego charakteru. To —

Sokaze uderzył pięścią w oparcie fotela.

— Nie będę tego tolerował! — wykrzyknął, szukając w jej oczach wsparcia lub choćby cienia aprobaty.

Erdene odstawiła filiżankę z łagodnym stuknięciem o stolik i przemówiła melodyjnie, a jego wybuch był tylko zakłóceniem rytmu rozmowy.

— Drogi Sokaze. Zmieniając temat. Czy wiemy może, skąd zielone chusty zdobyły tyle glejtów na wjazd do Nikyo? — Uniosła brew z pozorną troską. — Jako Kaiganrin, którego stolica, Nikyo, stoi dziś na granicy rozpadu, czuję się naprawdę zaniepokojona o własne bezpieczeństwo jako jedna z Zhanshou.

Dodała z podejrzliwą nutą:

— Ponoć te zielone chusty są moimi wielkimi wyznawcami. Słyszałam, że ty, drogi Sokaze, też... czerpiesz wiele z moich nauk. Tak przynajmniej odbieram słowa twojego dziadka Getsureia, gdy tylko o tobie wspomina. Schlebia mi to. I czy w takim wypadku będziesz skłonny mi pomóc zrozumieć logikę idącą za tym tłumem... Czemu chcieli zniszczyć dom Kaiganrina, skoro tak go wielbią?

Ułożyła dłonie na kolanach tak, by pierścienie na palcach lśniły w blasku kominkowego światła. Zephyr nie pojmował, co ona robi. Przecież wiedziała, z kim rozmawia, co wiedział z jej własnego listu...

Sokaze miał coś już odpowiedzieć na jej komplement, ale ona kontynuowała:

— Getsurei faktycznie się zatracił. Dlatego zaprosiłam cię na tę rozmowę. Bo wiele słyszałam o twoich dokonaniach — i jestem skłonna wysłuchać twojej rady odnośnie do moich „wyznawców”.

Dziedzic natychmiast się rozpromienił. Zephyr już wiedział, co robiła — zamiennie prowokowała i usypiała jego czujność. Tak jak przy ich pierwszym spotkaniu jego własną. Skoro się nie znali osobiście, pyszałkowaty następca tronu powoli wpadał w jej sidła.

— Robię, co w mojej mocy, by doprowadzić Zaihon do porządku — zaczął Sokaze. — Niestety pojawiły się też problemy w strukturach Shoukenów. Przestali odpowiadać na rozkazy i ponoć robią, co sami uznają za słuszne.

Zephyr znał tę historię z samego źródła. Shouken Joonjo Mito wspominał o sprzecznych rozkazach z Shokyo.

Królowa uśmiechnęła się sztucznie i stuknęła palcami o palce, wyraźnie z czegoś niezadowolona, gdy to mówił. Tyle Zephyr już umiał wyczytać z jej ruchu. Gdy skończył, odpowiedziała na nowy wątek w rozmowie:

— Jak to możliwe? — Erdene przyłożyła dłoń do ust, udając zdziwienie.

— Podejrzewam, że mój dziadek nie ma już strategii, jak sobie z nimi radzić. Tak jak powiedziałeś, Wasza Wysokość — zatracił

się. Miota się w rozkazach. Na całe szczęście nasze wojska powoli pacyfikują główne ogniska buntowników w zielonych chustach, a ja czuвам nad działaniami osobiście.

Zephyr wreszcie się odezwał:

— Mam inną teorię co do Shoukenów. — Głos zabrzmiał twardo, chłodno. Przemówił bez niczyjego pozwolenia. — Niezależnie od wieku Miłościwie Panującego Cesarza Getsureia Aorina, nie podejrzewałbym władcy o tak sprzeczne rozkazy. Z naszego kontrwywiadu — prowadzonego wobec was i chust — wynika, że Shoukeni od każdego kolejnego posłańca otrzymywali odwrotne rozkazy od cesarza. I to było zarzewiem sprzeciwu w ich strukturach.

Mięśnie twarzy Sokaze drgały gwałtownie. Zdawało się, że w każdej chwili wstanie oburzony całą konwersacją.

Erdene tymczasem obserwowała Zephyra z uwagą — nie gniewnie, lecz z fascynacją. Jak ktoś, kto właśnie słyszy coś, czego się spodziewał. Dumna, że odważył się wejść mu w słowo.

— Brzmi to sensownie, drogi Sokaze. W końcu jest naszym wrogiem, a ostatnią rzeczą, na której by mu zależało, to pomagać nam rozwiązać tę zagadkę.

Zaśmiała się niespodziewanie i zwróciła swoją uwagę na Zephyra.

— Chyba że to wy, Zephyrze, fałszujecie dokumenty i siejecie zamęt w naszych poleceniach?

Dziedzic odstawił filiżankę i klasnął w dłonie.

— To brzmi rozsądnie, o Najjaśniejsza! — wypalił z dumą, której aż za dużo było w tym jednym zdaniu, jednocześnie podlizując się jej, jak tylko mógł.

— Nieprawda... Nie ma w tym, co powiedziała, cienia rozsądku.

— Głos Zephyra był zimny i pewny. — Polecenia wydajecie Shoukenom przez ptaki, nie dokumenty.

Zawiesił głos, a potem dodał bez zająknięcia:

— Przyznaję. Mamy w naszych szeregach natchnionych pamięcią, którzy potrafią rozmawiać z naturą. I takich, którzy są w stanie wpływać na myśli istot żywych. Ale nie przeszukujemy każdego ptaka, by zmieniać rozkazy garstki ludzi w czarnych płaszczach. Pojmaliśmy jednego z nich, gdy nas szpiegował, i stąd mamy tę wiedzę. Nie wspominając o próbach Zaihonu, na podstawie których doszliśmy do takich wniosków. Teraz je jednak potwierdziliśmy.

Drobne kłamstwo Zephyra zadziałało jako zasłona dla aktualnej pozycji Shoukenów, a jednocześnie pograżyło dziedzica. Jego podlizywanie się Erdene odbiło się czkawką. Sokaze niemal zazgrzytał zębami. Chwycił filiżankę z taką siłą, że cudem pozostawał fakt, że porcelana nie pękła. Upił łyk, by ukryć gniew.

Ona oparła policzek na dłoni, uśmiechając się jak ktoś, kto właśnie złożył idealny ruch w grze, której przeciwnicy jeszcze nie rozumieją. Kompletnie nieurazona, że podważył jej słowa. Słowa Królowej...

Dziedzic ponownie odstawił filiżankę i uśmiechnął się szerzej:

— Powiedz mi zatem... przybyszu. Jak widzisz strategię obrony Gyo, gdy nasza armia zjawi się tam z flotą?

Sięgnął do szerokiego rękawa, z którego wysunął zwój, po czym zwrócił się do Erdene:

— Widzisz, Wasza Wysokość — przed podróżą do ciebie otrzymałem pełny raport wywiadowczy. Już jakiś czas temu namierzaliśmy ewentualne miejsce zbierania się uciekinierów z Nikyo po ataku zielonych chust oraz miejsce tajemniczej ewakuacji po ostatniej pacyfikacji katedry Unaro przez naszą armię. Wynika z niego, że w rejonie Jeziora Tsing coraz częściej znikają nasi zwiadowcy, a wioski donoszą o dziwnych światłach, głosach i przybyszach z innych części Zaihonu. Nie mówiąc o łódkach i dwóch okrętach na jeziorze...

Podniósł podbródek i powiedział triumfalnie:

— Nasi ministrowie wojny, z częściowo zmienionym składem na podstawie moich rekomendacji — podkreślił to z dumą — doszli do wniosku, że poza lokalnymi jaskiniami jeden punkt wydaje się oczywisty. Ruiny przeklętego miasta. Mój dziadek najpewniej niedługo zostanie również o tym poinformowany i wyda rozkaz wypłynięcia armady z Shokyo i wsparcia z Sankyo.

Oczy Erdene błysnęły, gdy odbierała zwój. Odłożyła go obok siebie. Uśmiechnęła się słodko, lecz przemówiła chłodno.

— To bardzo niegrzeczne, drogi Sokaze, zmieniać temat. Raz na to pozwoliłam, gdy nie odpowiedziałeś na moje pytanie o moich wyznawcach, ale drugi raz musi spotkać się z moją uwagą.

— Niegrzeczne?! Sama to zrobiłaś przed chwilą?! — Oburzył się, niemal zrywając się z fotela. Machnął dłonią w stronę Zephyra.
— To jest nietaktowne! I to musi też się spotkać z moją uwagą! Ten tutaj osobnik to coś obraźliwego wobec mnie i mojej rodziny!

Siedzimy przy stole z przestępcą! Człowiekiem z wrogiego wobec nas i was kraju! Na dodatek pochodzącym z plebsu, bo ponoć całe Unaro to ten typ ludzi! To jest karygodne, niesmaczne i właśnie „niegrzeczne”!

Wskazał na zwój, który jej dał:

— Szczególnie kiedy dostarczam ci rozwiązanie problemu. Dowód na to, że będę lepszym władcą niż mój dziadek. Z twoim poparciem i poparciem Shinrina chciałem was prosić o przyzwolenie na zmianę władzy! Ale po tym co widzę —

Erdene odchyliła się na oparciu sofy.

— Widzisz, drogi Sokaze... — przerwała jego wywód, a jej ton pozostał lodowaty i spokojny. — Problem w tym, że przy tym stole siedzi dwóch przestępców.

Zawiesiła głos, jakby smakowała słowa.

— I nie mogę ocenić, który z nich jest gorszy.

Usta dziedzica pozostały otwarte.

Zephyr wiedział już o jego winie. I to dzięki jej pismu do Shinrina. Teraz też miał pewność co do tożsamości tajemniczego mężczyzny z palarni. To była ta sama osoba, która mu wówczas groziła i otwarcie przyznawała się do koordynowania zielonych chust. Teraz siedziała w jej komnacie. Nie znał tylko jej twarzy. Do dzisiaj.

Erdene mówiła dalej, powoli, jakby każde zdanie ważyła na dłoni:

— Drogi Zephyr, powoli dowiaduje się, co złego uczynił wobec Zhanshou i Zaihonu. Twoje winy, drogi Sokaze, są równie ciężkie.

Wystarczyło poczekać. Getsurei nie będzie żył wiecznie, choć na pewno trudno mu umrzeć...

Zrobiła krótką pauzę i jej głos stwardniał:

— I mimo że oboje nie darzymy go szacunkiem, ja od niego niczego obecnie nie potrzebuję. I... nie akceptuję tego, że korzystałeś z jego uprawnień, wydając dekrety i glejty rękoma swojej spiskowej świty.

Podniosła filiżankę, lecz nic nie upiła — tylko obracała ją w dłoniach.

— Co gorsza, wykorzystałeś mój tytuł do swoich brudnych gier. Przeinaczyłeś moje słowa wypowiedane w mantrach i użyłeś ich, by omamić prosty lud. Jeszcze ktoś mógłby pomyśleć, że to ja odpowiadam za te rozruchy, a wraz ze mną nasz cały Dominat.

Głos jej stawał się coraz cichszy.

— Wreszcie — zaatakowałeś moje dzieci. W mojej stolicy.

Po tych słowach zapadła cisza.

Płomień w kominku zatrzęszczał, a Zephyr widział, jak Sokaze blednie i drży — już nie z gniewu, ale z czystego strachu.

Erdene nie patrzyła na niego. Wpatrywała się w kawę, zdając się zastanawiać, czy wypić ostatni łyk, czy zostawić go jako znak końca rozmowy.

— Czy powinnam ci dziękować, drogi Sokaze, że nie zdążyłeś zniszczyć mojego sanktuarium w Nikyo rękoma tego naślanego motłochu? — zapytała wreszcie cicho.

— Straże! — krzyknął Sokaze.

Zephyr zareagował instynktownie. Mroczny sztylet błysnął w jego dłoni — tak jak wtedy w palarni. Ostrze powędrowało prosto pod twarz dziedzica.

Sokaze wykonał ten sam ruch co niegdyś. W jednej chwili jego sylwetkę otoczył gęsty kłęb dymu; zniknął na krótki dystans i pojawił się bliżej drzwi prowadzących do jej prywatnych komnat i przejść dla służby za marmurowym stołem.

Dopiero wtedy Zephyr zauważył coś, co wcześniej umknęło jego uwadze — w całym pokoju nie paliła się żadna świeca ani kadzidło. Światło wpadało przez dwa okna prostopadłe do drzwi służby. Zasłony były rozsunięte, okna uchylone. Świecił tylko kominek. Królowa ograniczyła ilość dymu do minimum.

Erdene siedziała w bezruchu, z jedną dłonią wciąż opartą na kolanie, a w drugiej trzymając filiżankę. Jej wzrok był chłodny, twardy jak wygładzona kość.

— Straże! — powtórzył Sokaze już z nutą paniki.

Królowa wreszcie przemówiła:

— Sorei w formie pierścienia pozwalające znikać w dymie... — zaczęła spokojnie. — Pamięć należąca do jednego z cesarzy dynastii Aorin. Nałogowego palacza opium. Nie pamiętam już jego imienia, ale wiem, że nie należał do najwybitniejszych władców waszego rodu.

Zamilkła na chwilę, po czym uśmiechnęła się delikatnie.

— Historia lubi się powtarzać. A w tym przypadku nie będzie jej to nawet dane.

Odłożyła filiżankę, a porcelana zadźwięczała jak uderzony dzwon.

Ciężkie drzwi otworzyły się i do komnaty wkroczyli Tintazar wraz z Urdineą. W innych stanęli jej Zaindarak, a z drzwi za Sokaze wyszedł Ostiar.

Kobieta z pamięcią litvorago trzymała za kark ciało jednego ze strażników Sokaze i rzuciła nim przed stólik.

Zephyr usłyszał krótki szept przy ciele. Wyglądało na to, że strażnicy Sokaze potrafili czerpać z sorei. Za Tintazarem i Urdineą po otwarciu drzwi na korytarzu dochodził trzask płomieni i biła niebieska luna. W ich komnacie nie dało się nic usłyszeć podczas całej rozmowy. Zerknął na towarzysza Urdinei. Tintazar zapewne używał jakiegoś artefaktu, który tłumił dźwięki. Gdy oni rozmawiali, jej ludzie pozbywali się ludzi Sokaze w sali kolumnowej.

Huk upadającego ciała poderwał też z drzemki dwie pandy siedzące wcześniej przy fortepianie — Zephyr dopiero teraz je zauważył.

Dziedzic rozglądał się nerwowo, szukając opcji.

— Paar — powiedziała cicho Erdene i uniosła wolną dłoń.

Panda zerwała się i pobiegła w stronę głosu Królowej. Sokaze rzucił na nią krótkie, pogardliwe spojrzenie — i wtedy wszystko się zmieniło.

Zwierzę przystało obok stołu. Odwróciło się powoli ku niemu. Zephyr dostrzegł na jego ogonku cienką, niemal wtopioną w sierść wstążkę o czarnobrunatnym odcieniu.

Paar stał nieruchomo. Nagle przystanął na tylnych łapkach i zrobił swoją groźną pozę z uniesionymi górnymi kończynami, z pyskiem zwróconym w stronę dziedzica. Przyjął swoją pozycję,

którą miał odganiać drapieżniki. Był ślepy, ale można było odnieść wrażenie, że widzi więcej niż wszyscy w pokoju. Nienaturalna cisza ogarnęła pomieszczenie.

Sokaze najpierw prychnął, wręcz zaśmiał się pod nosem. Po chwili jednak chwycił się za gardło, jakby próbował zaczerpnąć powietrza — i runął na posadzkę.

Zephyr zamarł. Wszystko trwało sekundy, a jednak wydawało się rozciągnięte w nieskończoność. Po tym szoku Erdene sięgnęła spokojnie po mały dzwoneczek i poruszyła nim raz.

Cichy dźwięk odbił się od ścian. Jeden ruch znaczył dołanie trunku. Służący wszedł z pochyloną głową, mijając przybocznych i zwłoki Zaihonczyków. Uklęknął przy stoliku bez słowa i... nalał jej kawy.

Erdene uniosła filiżankę i, jak gdyby nigdy nic, spytała miękko: — Chcesz dolewkę, drogi Zephyrze?

VI

Zaindarak posprząтали ciała, a służba zmyła krew z posadzki przed stolikiem.

Zephyr wciąż trawił cały spektakl, podczas gdy ona piła kawę, patrząc nieprzerwanie na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą siedział Sokaze.

Na sofie leżał zwój, który odłożyła obok siebie. Sięgnęła po niego, przez moment obracała w dłoniach — po czym, bez przeczytania, cisnęła prosto w kominek.

— Niestety, drogi Zephyrze, mam trochę pracy niecierpiącej zwłoki. Musimy przerwać nasz wspólny czas.

Zephyr patrzył na płonący zwój, gdy dodała:

— Nie martw się. Jedną z rzeczy, które muszę dziś naprostować, jest twój pierwszy urodzinowy prezent. Obiecałam, że ludzie z Unaro będą bezpieczni. I zamierzam dotrzymać tego słowa.

Spojrzała na niego i ciepło rzekła:

— Nie mogłam sobie wymarzyć ciebie w lepszej postaci, więc nie widzę powodu, by ci biedacy mieli umierać z rozkazu rozkapryszonego dziecka i jego beznadziejnego dziadka.

Powstała. On również. Odwróciła się przez ramię, spojrzała mu prosto w oczy. Obręcze na jej tęczęwkach falowały w świetle ognia — ciepłe, a zarazem niepokojąco żywe.

— Dziękuję, że się za mną wstawiłeś i chciałeś mnie obronić. To było bardzo rycerskie zachowanie z twojej strony. — Podeszła do niego o krok bliżej, a jej głos był cichy, prawie intymny, jakby to nie był tylko komplement.

Lekko nachyliła się w jego stronę, lecz szybko odwróciła ciało i ruszyła przed siebie. Jej włosy, opadając wolno, musnęły Zephyra po twarzy — miękkie, kojąco chłodne, o zapachu jej perfum. Ten drobny kontakt wystarczył, by na nowo rozbudzić w nim to palące uczucie.

Przy drzwiach do jej sypialni czekały już Paar i Suun.

W ciężkich wrotach pojawiła się Larethe, starając się nie okazać przerażenia widokiem zniszczeń za swoimi plecami.

— Słodka Larethe — powiedziała Erdene, gdy ją ujrzała. — Zabierz Zephyra do jego komnaty.

Dziewczynka dygnęła z gracją, podeszła i ujęła go za rękę. Ruszyli korytarzem, w którym czuć było jeszcze zapach spalenizny i kawy.

Zephyr obejrzał się ostatni raz — zobaczył, jak Erdene odchodzi w głąb swoich komnat. Tuż przed tym, gdy zniknął za kotarą, odwróciła głowę w jego stronę. Na jej ustach pojawił się uśmiech — ledwie cień, bardziej *przyzwolenie*, by patrzył, niż gest pogardy, że się odważył. Tak samo jak jej spojrzenie: krótkie, kuszące, całkowicie nie do zapomnienia.

Gdy szli korytarzem, Larethe szepnęła:

— Pan Aorin żyje.

Zephyr przystanął.

— Skąd wiesz? I skąd w ogóle wiesz, co się działo w komnacie?

Dziewczynka ściszyła głos jeszcze bardziej:

— Po tym, jak cię odprowadziłam, Pani Siostra kazała mi zostać z Tintazarem w bocznym skrzydle sali kolumnowej i nie

wychodzić, dopóki on nie powie. Spytałam go, czy znowu dojdzie do czegoś niedobrego, a on powiedział, że dzisiaj nie — bo Pani Siostra ma ważnego gościa. Jak usłyszałam, że to pan Aorin, to się uspokoiłam.

Zephyr zmarszczył brwi, słysząc, że „nic złego się nie stało”.

— Ale Paar... swoją pamięcią go udusił — rzucił półgłosem, wciąż nie pojmując, jak zwierzę może posiadać artefakt.

— Paar taki nie jest! — oburzyła się Larethe. — I nie umie zabijać. To, co widziałeś, to ogłuszenie przez strach. Kiedy ktoś się boi, nawet jeśli nie pokazuje tego na zewnątrz, Paar potrafi podnieść to uczucie tak bardzo, że ofiara mdleje. Mogłaby umrzeć tylko wtedy, gdyby nieszczęśliwie upadła — dokończyła dziewczynka tonem, który nie zostawiał miejsca na wątpliwości.

Miała rację w tym, że sama panda czerwona nie była na tyle przerażająca, aby wywołać u kogokolwiek zawał lub takie duszności.

Jej postawa obronna, choć skuteczna wobec drobnych stworzeń, nie stanowiłaby zagrożenia dla dorosłego i uzbrojonego mężczyzny. Ale jej zdolność uzupełniała się doskonale z tym, co prezentowała sobą Erdene.

Zephyr rozumiał już, że Yukensoo Tenrin nadepnął Królowej na kilka odcisków i zapłacił za to pokazowo.

Nie potrzebowała Zephyra do tego celu, a jednak wykorzystała go jak rekwizyt — żywy dowód, narzędzie, widza i świadka zarazem. Czy wiedziała, że on i Sokaze się znali? Zapewne nie. Ale wiedziała jedno: że zielone chusty mogły się nim interesować.

A to wystarczyło, by jego rola w jej przedstawieniu była przesądzona.

Wrócili do komnaty, gdzie Nekono nadal leżał pod fortepianem. W końcu z jego perspektywy nic się nie wydarzyło.

Larethe już miała wychodzić, gdy Zephyr odezwał się cicho:

— Mogę cię o coś spytać?

Dziewczynka kiwnęła głową.

— Dobrze. Chodź bliżej.

Pokazał jej miejsce na dywanie i sam usiadł, krzyżując nogi. Ona zrobiła to samo, w milczeniu, jakby przeczuwała, że to coś ważnego.

— Mówiłaś, że słyszysz głos chłopca, który zaprosił cię do gry w chowanego w Urbo de Oriento, tak?

Larethe kiwnęła głową.

— Chcesz go zobaczyć?

Wzdrygnęła się na tę propozycję, ale patrząc na jego spokojny uśmiech, po chwili skinęła głową.

— Zamknij oczy — powiedział cicho. — I skup się na moim głosie.

Ona posłusznie to uczyniła. Zephyr również. Zerknął na nią przez uchyloną powiekę, a potem wyszeptał:

— Zaczynamy.

Powietrze zadrżało mocniej niż zwykle. Świat zgasł jak płomień przykrytej dłonią świecy.

Po chwili byli już w wymiarze, którego Zephyr nie odwiedzał od konfrontacji z Eidolonem. Dolorán przekonywał go jeszcze

przed uprowadzeniem przez Hezurkaroi, że jest już bezpieczniej po zniszczeniach wywołanych przez tamtą inwazję — ale Zephyr i tak nie ryzykował.

Teraz jednak nie miał wyboru. Jeśli miał porozmawiać z Larethe bez podsłuchu, to tylko tutaj.

Po otwarciu oczu Zephyr zobaczył wymiar, który wyglądał niemal jak wcześniej — z tą różnicą, że teraz mrok przeważał nad szarością i bielą.

Ku jego zaskoczeniu Dolorán już tam był. Nie przy nim, jak miał w zwyczaju, wgapiiony w niego swoimi pustymi ślepiami. Stał przy Larethe, spokojny, jakby na nią czekał.

Zwykle pojawienie się innego człowieka w wymiarze cieni wyczerpywało lub straszło gościa, ale dziewczynka wyglądała na zupełnie niewzruszoną. Patrzyła na niego z ciekawością, nie z lękiem. W końcu kiedyś słyszała jego szept. Była praktycznie tak samo bliska Dolorána jak sam Zephyr.

Chłopczyk zachowywał się jak zawsze — był bezpośredni i szyderczo uroczy.

— Ja cię znam! — zawołał z błyskiem w oczach. — Jesteś moją przyjaciółką! Bawiłaś się ze mną w chowanego! Wiesz, że przegrałaś?

— N... nie — odpowiedziała nieśmiało Larethe.

— To przegrałaś! — Roześmiał się i dodał, już łagodniej:

— Nigdy za dużo nie rozmawialiśmy. Wcześniej byłem paskudą, ale dzięki Zephyrowi już nie jestem. Pamiętam jedynie, że cię nastraszyłem parę razy. Bardzo przepraszam. Jestem Dolorán.

Larethe uśmiechnęła się i cicho odparła:

— Nie ma za co. Chyba rozumiem... Ja jestem Larethe.

— Wiem. Ty nie znałaś mojego imienia, dlatego musiałem się przedstawić. Uczę się być grzecznym. W co lubisz się bawić? — zapytał Dolorán.

— W dużo rzeczy.

— A w co najbardziej, gdy jesteś w tym strasznym miejscu?

— Ostatnio... za dużo się nie bawię.

— Czemu?

— Bo nie mam z kim. Teraz głównie bawię się z pandami. Lubisz zwierzęta?

Dolorán przytaknął z entuzjazmem:

— Tak!

Zephyr obserwował, jak Dolorán rozmawia z Larethe — i nawet się uśmiechnął.

Był to widok rzadki: istota pamięci zrodzona z bólu i dziecko rozmawiające jak starzy przyjaciele. Dopóki jego pamięć nie wciągnie jej w jakąś grę o wspomnienia, wydawało się, że są bezpieczni.

Zanim postanowił porozmawiać z Munjo, musiał ustalić kilka rzeczy z dziewczynką:

— Dolorán. Pozwolisz, że na chwilę wam przerwę?

— Ale mieliśmy właśnie ustalić, co jest słodsze: czerwona panda czy fenek! — oburzył się teatralnie.

— Obiecuję, że to nie potrwa długo. Potem możecie się bawić, ile chcecie.

Dolorán skrzyżował ramiona, wyduł policzki i usiadł obok niej, odwracając głowę z udawanym żalem.

— Larethe. — Zephyr mówił cicho, prawie szeptem. — Erdene teraz nie powinna nas słyszeć. I proszę cię, żebyś nie mówiła jej, że tu byłaś. Zgoda?

— Ale... — zawahała się, unosząc wzrok.

— Bardzo cię proszę — powiedział najdelikatniej, jak mógł.

— Właśnie! — wtrącił Dolorán. — Nie musisz słuchać tej wiedzy!

— Pani Siostra nie jest wiedźmą! — krzyknęła, aż echo odbiło się od ciemności, zdającej się przyjmować jej słowa. Zaraz potem spuściła wzrok, jakby przestraszyła się własnego głosu.

Dolorán prychnął i odwrócił teatralnie głowę. Rzucił tylko krótko:

— Jest.

Zephyr westchnął na jego przytyki.

— Larethe, rozumiem, czemu ją bronisz. Nie dlatego, że jest królową twojego ludu. Ale dlatego, że się tobą zajęła, gdy najbardziej się bałaś. Zasłużyła na twoją wdzięczność. Ale wiesz też, że jest niebezpieczna i okrutna. Może nawet tak samo — albo bardziej — niż dawne ja Dolorána.

— Właśnie. Eidolon był paskudny. Ja już nie jestem. A ona na pewno jest — dodał Dolorán z udawaną dumą, po czym znowu się odwrócił, jakby nie chciał patrzeć na nikogo.

Zephyr uśmiechnął się cienko, po czym mówił dalej:

— Anari, Isandra i ja chcemy wrócić na Dwukontynent, Larethe. A skoro żyjesz — chcemy pomóc też tobie. Żebyś mogła wrócić do swojej rodziny.

— A co, jeśli ona o mnie zapomniała? — spytała cicho, z trudem łapiąc oddech z rosnących w niej emocji.

— Na pewno nie. Wszyscy się o ciebie martwią — odparł spokojnie Zephyr.

— Nie wiesz tego. — Potrząsnęła głową. — Pani Siostra mówiła, że jak dziecko się gubi, to rodzice szukają go kilka dni... a potem zapominają.

— Pani Siostra — westchnął — z tego, co słyszałem, zbyt często nie opuszcza pałacu. I najwyraźniej nie ma zbyt licznej rodziny, żeby o tym wiedzieć.

Po chwili dodał ciszej:

— Pandy się nie liczą.

Larethe od razu się oburzyła, jej głos zabrzmiał ostrzej:

— Ale Pani Siostra bardzo cię lubi! Czemu ją obgadujesz i mówisz o niej takie przykre rzeczy?

Zephyr poczuł znajome ukłucie w piersi — to samo uczucie, które w nim budziła, gdy tylko na nią patrzył. Patrząc na dziewczynkę, jej bojowe nastawienie i podobne, choć szare oczy, widział w Larethe jej miniaturową wersję...

Wziął głęboki wdech, próbując zdusić te uczucia.

— Ona czegoś ode mnie chce, Larethe. Dlatego tak mnie lubi. I wiem, że czasem się jej boisz... a ona to wykorzystuje.

— Nieprawda! — zaprotestowała gwałtownie. — Nie boję się jej! Po prostu... czasem nie rozumiem, co robi. Powiedziała, że jak dorosnę, to wszystko zrozumiem. Poza tym... bardzo dużo o tobie mówi. Zawsze bardzo miło. Żałuję, że nie może spędzać z tobą więcej czasu, bo jest zajęta byciem królową.

Kolejne uderzenie ciepła rozlało się w jego klatce piersiowej — nagle, znajome, odpychane przez jego wolę z całej siły.

— Dobrze. Doceniam to. — Zephyr uśmiechnął się sztucznie, próbując ukryć zniecierpliwienie i kotłujące się w nim emocje. — Skoro tyle o mnie mówi, to może wspominała, co tak właściwie we mnie lubi?

— Tak. Ciebie całego — odpowiedziała bez namysłu.

— A... coś więcej?

— Zanim przybyłeś do nas, pytała mnie, czy cię znam. Bo słyszała, że jesteś bardzo dobrym człowiekiem. I ja to potwierdziłam. Opowiedziałam, jak zająłeś się mną razem z Isandrą i Anari.

Zebrała myśl i dodała:

— Ale ona stwierdziła, że Isandra robiła to wszystko, bo jej się podobasz. A Anari bo bała się kapitana. Że to ty się naprawdę o mnie zatroszczyłeś. Nie zgodziłam się... ale ona powiedziała, że zrozumiem, jak będę starsza.

Zephyr uśmiechnął się krótko, ale w oczach błyszczało coś cięższego. Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, Dolorán odezwał się tonem pełnym oburzenia:

— Ale przyjaciel Zephyr ma już dziewczynę i nie potrzebuje nowej! To Yorin!

— Yerin — poprawiła go z przekonaniem Larethe.

— Yorin — odparł Dolorán twardo, jakby to była sprawa honoru.

Dziewczynka pokazała mu tylko język na tę poprawkę, a on jej jego cienisty odpowiednik. Na moment zapadła cisza, w której

nawet mrok wymiaru wydawał się nasłuchiwać i czekać na kolejne słowa.

Wymiana o Yorin była tak nagła, że Zephyr przez chwilę nie pojmował, co się właściwie działo. Sam fakt, że Dolorán po raz pierwszy tak otwarcie używał jej imienia, zaskoczył go — i przywołał w nim ciepłe wspomnienia. Walczył o nią tak, jak on sam powinien. I był tego boleśnie świadomy, że za łatwo ulegał Erdene.

Wersja Larethe z drugiej strony go nie zaskoczyła. Wiedział, że musiała nieświadomie przekręcać imię, bo tak nauczyla ją Pani Siostra. I zapewne opowiadała jakieś historie, by wypadać lepiej niż Yorin.

— Wspominała coś o Yerin? — zapytał, celowo powtarzając błąd.

Dolorán natychmiast zareagował, literując głośno z oburzeniem:

— *Y-o-r-i-n!*

Larethe zignorowała go tak jak Zephyr. Szepnęła:

— Pani Siostra mówiła, że jej bardzo nie lubi.

— Mówiła za co? — spytał ostrożnie.

— Za to, że zdradziła swoją rodzinę, swojego narzeczonego, swój kraj i nauki ich ludu. I ją samą. I że próbowała ją z czegoś okraść...

Nagle Larethe rozpromieniała i pospiesznie zmieniła temat:

— Wiesz, że Pani Siostra jest nie tylko Królową, ale też strażnikiem i mędrce? Myślałam, że mędrzec musi być stary i mieć brodę.

— Słyszałem o tym. — Zephyr uśmiechnął się krzywo na te słowa.

— Pani Siostra szykowała się na twoje przybycie wiele dni. Mimo że myślisz, że jest okrutna i surowa, to ona też bywa smutna. I na pewno będzie smutna, jak powiesz jej, że lubisz *Yerin*.

— Yerin! — krzyknął Dolorán, aż echo przetoczyło się po pustce, a cień wymiaru zapulsował nienaturalnie po tym krzyku.

W głowie Zephyra doszło do objawienia.

— Ile dokładnie dni się przygotowywała?

— Siedem.

— Jesteś pewna? — Jego głos zadrżał.

— Tak! Powiedziała mi, że za około siedem dni pojawisz się w pałacu — i się pojawiłeś! — Podniosła ręce z radością. — I że najpewniej stanie się to w twoje urodziny!

Potem, jakby się bała, że zapomni, dodała szybciej:

— Miała ci też dać dużo prezentów. Jednego bardzo nie lubiłam, ale powiedziała, że go zrozumieć później.

Zephyr zamarł. Pojedynku z Txorianem nie dało się tak łatwo wyjaśnić. Ale słowa Larethe układały się w całość.

Jeśli Erdene wiedziała o jego przybyciu siedem dni przed czwartym dniem pierwszego tygodnia *Unumy*, prowadziło to do przerażającej konkluzji — wiedziała dzień wcześniej o decyzji kolonii, zanim jeszcze on sam ją podjął wraz z nową Radą.

Protektaro Rabke jedynie wspominała, że w kuluarach rozważali taki ruch, gdy on spał po ataku Eidolona.

Czy możliwe, że w naszych szeregach jest szpieg? Jeśli tak — jak przekazałby informację tak szybko, bez opuszczania źródła pamięci w

Gyo? Oczywiście mógł skorzystać z którejś z bram ukrytych po całym Zaihonie, lecz wtedy Hezurkaroi i Erdene bazowałiby na pogłosce...

Myśli buzowały, kiedy Zephyr zadał jeszcze jedno pytanie. Widział, że Dolorán się niecierpliwi i zaraz wybuchnie ze znużenia.

— Wspominała, co ją tak smuci?

— Tak — odparła cicho. — Ale nie rozumiałam dokładnie. Mówiła jedynie o tym dużym obrazie w galerii i tym, jaki jest smutny. Przepraszam.

Chłopczyk zrobił dokładnie to, czego Zephyr się spodziewał. Wrzasnął:

— Wystarczy! Zabieram Larethe, żeby się ze mną pobawiła, skoro ty nie chcesz! Jeszcze ta wiedźma przyjdzie i ją zabierze!

— Ona nie jest wiedźmą! — krzyknęła, ale mimo to wstała.

Przed nimi pojawiły się dwa bujane koniki.

Dolorán wskoczył na swojego i od razu zaczął się bujać — coraz mocniej, coraz szybciej, aż bieguny z materii z każdym ruchem unosiły się na krawędziach księżycowej podłogi, skrzypiąc jak stary okręt na wzburzonym morzu, mimo że nie były z drewna.

Larethe próbowała dotrzymać mu kroku, ale jej konik bujał się ciężiej, jakby nie mógł oderwać się od ziemi.

Zephyr patrzył na nich przez chwilę — uśmiechał się, wiedząc, że to dla Dolorána idealna okazja do prawdziwej dziecięcej zabawy.

Nie pamiętał nic innego niż bycie dzieckiem i to, co wykradł Eidolonowi po ich rozszczepieniu. Jedyne, co znał po oddzieleniu

od reszty swojej dawnej pamięci, to towarzystwo Eidolona i teraz samego Zephyra.

On, Yorin czy Isandra mogli wymyślać mu zagadki i gry, ale to nie było to samo co prawdziwa zabawa z „rówieśniczką”.

Nawet jeśli Dolorán żył ponad tysiąc lat temu — teraz, istniejący jako pamięć, znów stał się chłopcem.

Zephyr odwrócił się więc do Munjo i Dafri, by następnie krzyknąć:

— Hyeolsuin! Dziękuję ci za pomoc w ostatnich trudnych chwilach! Mogę mówić do ciebie *Gwizdek*?

Byt ryknął wesoło, a pomieszczenie ogarnęła miękka, fletowa melodia. Skinął głową ku pustce i zwrócił się do kronikarza.

— Czcigodny Munjo. — Zephyr uklonił się z szacunkiem i pochwycił Dafri, która wylądowała mu w rękach.

Starzec odłożył pędzel, by odwzajemnić gest.

— Drogi Zephyrze — odpowiedział spokojnie.

— Najmocniej przepraszam, że tak długo was nie odwiedzałem, mimo że miałem czas. Nie chciałem ryzykować.

— Rozumiem, że teraz jesteście razem z małą Larethe niewidzialni?

— Tak. Nekono najwyraźniej nie przekazuje żadnych informacji do Jaunasko. Wygląda na to, że reagują wyłącznie na niego i dzielą jego pole widzenia. Pokój również wydaje się bezpieczny i nieobserwowany.

Munjo skinął głową.

— Dobrze. W takim razie powinniście być bezpieczni. Pamiętaj jednak, by przy opuszczaniu tego miejsca zachować

niewidzialność. Nie pozwól, by ktoś nieproszony zobaczył was wyłaniających się z woalu w złym momencie.

Zephyr potwierdził i spytał, głaszcząc kotkę:

— Co o tym wszystkim myślisz, czcigodny? Rozumiem, że o Hezurkaroi nie wiesz nic konkretnego?

— Przykro mi, Zephyrze. Najwyraźniej wszystko, co o nich istniało, zostało starannie ukryte, zanim jeszcze się narodziłem. Jedyne ślad to samo hezari — język, który przetrwał wśród przybyszy. Możliwe, że inne ludy nauczyły się go w czasie wielkich migracji z ziem Hezurkaroi i mieszkając na Zaihon. Twój przyjaciel z Sankyo wspominał legendę czarnych rycerzy, ale dla mnie była czymś nowym.

— A sama Erdene? — dopytał Zephyr.

Munjo zawahał się.

— Jest niebezpieczna. Ale sam już to wiesz. Jak na swój młody wiek — wyjątkowo inteligentna, odczytana, przebiegła. A także okrutna... Świetnie rozpoznaje ludzkie intencje. Urodą potrafi uśpić czujność całego tego pałacu. I każdego, kogo zaprosi do rozmowy. Na pewno jest blisko pamięci świata. Ale w niej jest coś jeszcze. Coś, czego nawet moja pamięć czy Dolorána nie potrafi określić.

— Podejrzewasz wpływ cudzej pamięci? — Zephyr odstawił Dafri. — Nie umiem jej dostrzec jak Severian, ale wiem, że pierścienie i naszyjnik... coś do mnie szeptały. Nie wygląda na typowego Słyszącego. Nawet jej zwierzęta korzystają z pamięci świata. A jeden poddany wspominał, że jej urok nie pochodzi z artefaktu.

— To coś innego, Zephyrze. — Munjo zniżył głos. — Jak wspomniałem, nie potrafię określić co. Ale czujemy tutaj, że jej istota rezonuje z pamięcią świata — nie jak medium, lecz jak zwierciadło. Jednocześnie sama nie jest artefaktem.

— Myślisz, że to powiązane z jej zdolnością czytania Ossameru?

— Możliwe. Jeśli to, co opisała, jest prawdą — a *Kronika Czaszek* nie kłamie — to Ossamer może być rdzeniem pierwotnej pamięci Zerythar. A jeśli tak, to nie wykluczam, że i ona... w jakiś sposób czerpie z tego artefaktu.

— Według malej przewidywała nasze przybycie, zanim podjęliśmy decyzję o wyprawie do Furukawy. Niemożliwe, żeby był to szpieg. Źródło pamięci zaburzyłoby działanie każdego artefaktu na taką odległość. I nawet skorzystanie z bramy do przekazania raptem pomysłu nie wydaje się odpowiednią.

— Nie powinieneś tego całkowicie wykluczać — odparł Munjo spokojnie. — Ale jest też inny trop. Erdene wspominała ci o fascynacji Hezurkaroi wróżbami i przepowiedniami, prawda?

— Tak. Ale wszelkie auspicje to wymysł dawnych kultów. Religijni guru wykorzystywali wróżbiarstwo do legitymizacji pewnych decyzji...

Munjo spojrzał na niego ostro swymi pustymi oczami — wzrokiem, którego Zephyr nie widział od dawna.

— Zephyrze. Nie możesz patrzeć na tę kulturę przez pryzmat Unaro ani Zaihonu. Hezurkaroi pojmują rzeczy inaczej. Erdene wielokrotnie ci to sugerowała. A skoro jedna z ich świętych przepowiedni faktycznie się spełniła... musimy przyjąć, że to coś więcej niż symbolika i zabobon.

Zephyr uniósł wzrok.

— Wspominała o swoich wróżach podczas pierwszego obiadu. Że jest nimi otaczana — mruknął.

Munjo skinął głową.

— Zatem możemy założyć, że Hezurkaroi operują inną formą pamięci świata. Nie tylko taką, która pozwala przeszłości kształtować teraźniejszość — ale również taką, w której przeszłość i przyszłość istnieją jednocześnie w teraźniejszości.

— To brzmi jak paradoks — szepnął Zephyr.

— Bo nim jest — odparł Munjo. — Ale jeśli ich pamięć sięga dalej niż nasza... może nie przewidują przyszłości, tylko pamiętają ją wcześniej. Podobnie z ich pojmowaniem bólu, którego prawdziwa forma dociera dopiero później, niekoniecznie za życia, a gdy czerpiesz z jego tchnienia.

Myśli Zephyra buzowały.

Jeśli Erdene naprawdę potrafiła czytać przyszłość lub miała na swoim dworze kogoś, kto to potrafi, to wszystko zaczynało układać się w logiczną całość — jej gesty, decyzje, nawet słowa. Zawsze wiedziała, kiedy się uśmiechnąć, kiedy zamilknąć. Niemalże tak, jak gdyby każdą chwilę przeżywała po raz drugi.

Wtedy przypomniał sobie starcie z Txorianem. I reakcję Larethe przed zaczęciem próby.

Podszedł do koników na biegunach. Dolorán wciąż się huśtał z dziką energią, a Larethe zatrzymała się, opierając nogi o świetlistą podłogę.

— Larethe — zaczął łagodnie. — Mam jeszcze jedno pytanie... Czy wiedziałaś, że wygram z Txorianem?

Zamarła. Jej wzrok powędrował niżej, a cienkie dłonie zacisnęły się na świetlistej grzywie konika. W końcu wyszeptała:

— Pani Siostra powiedziała, że w tej próbie zwyciężysz... i że nie muszę się o ciebie martwić. Biedny Txorian... to, co mu zrobiłeś, było... straszne.

— Nie mów tak, Larethe! — zawołał Dolorán, który w jednej chwili znalazł się obok niej. — To ptaszysko było paskudą! My tylko ukaraliśmy je za to, że skrzywdziło Zephyra i jego dziewczynę!

Dziewczynka odwróciła wzrok jeszcze bardziej.

— Ale on już cierpiał, zanim przed wami stanął! Potem go oczyściliście... Odebraliście mu nawet ostatnie tchnienie.

Dolorán prychnął, wzruszył ramionami i pobiegł za Dafri, jakby nic się nie stało. Zephyr patrzył na ich ruchy, ale jego myśli odpłynęły gdzieś głębiej.

Wina tliła się w nim cicho, lecz obok niej — coś innego. Echo tamtej walki. Tamtego oddechu, który wciąż pamiętało jego ciało. Nie potrafił rozdzielić tych dwóch uczuć — złości i upojenia.

— Skąd wiedziała, że wygram? — spytał wreszcie suchym głosem.

Larethe nie odpowiedziała. Zrobiła tylko znak kłódki na ustach — po czym schowała ręce za plecy, najwyraźniej zdradzając mu już i tak za dużo.

Zwieszona głowa Zephyra była jedyną odpowiedzią na ten gest.

Kiedy już miał pozwolić im wrócić do zabawy, zerknął na zafrasowaną minę Dolorána, który zdawał się od niego oczekiwać czegoś jeszcze. Nie poganiał ani Larethe ani jego. Wziął głęboki

wdech i pojął, o co mu chodziło. Jedna sprawa pozostawała niewyjaśniona.

— Larethe... Podejrzewam, że nie zmienisz tego tak nagle. Ale Dolorán mówił prawdę.

Spojrzała na niego pytająco i nie przerywała.

— Imię mojej *dziewczyny* to Yorin. Nie Yerin. Oczywiście nie musisz poprawiać Pani Siostry, bo wtedy dowie się, że o tym rozmawialiśmy... Ale w rozmowach z nami lepiej używaj jej faktycznego imienia. Widzisz, jak Dolorán źle na to reaguje.

— Tak jak powinienem! — rzucił oburzony chłopczyk, a Zephyr posłał mu serdeczny uśmiech, w którym była prawdziwa wdzięczność za jego oddanie wobec Yorin.

— Masz absolutną rację, przyjacielu — dodał Zephyr, a Larethe zdawała się zastanawiać, o co im chodzi.

Dziewczynka i pamięć chłopca oddali się jeszcze na chwilę zabawie z Dafri, po czym ona i Zephyr pożegnali się z pamięciami i opuścili wymiar.

Nadal byli niewidzialni. I właśnie wtedy nastąpiło coś niespodziewanego. Larethe poruszyła się. Spojrzała na niego z lękiem i zapytała szeptem:

— Czemu jesteś przezroczysty?

— A ty czemu się ruszasz? — odparł równie zdumiony.

Wyjaśnił jej krótko, co się działo — że pozostają niewidoczni, a każdy inny, kto zostaje objęty woalem, zamiera w czasie poza nim samym. A jednak ona... też mogła się przemieszczać w niewidzialnym stanie.

Zephyr analizował to z rosnącym jednocześnie niepokojem i fascynacją. Jeśli słyszała Dolorána, a jego ciało było dla świata artefaktem, to jej świadomość musiała w jakiś sposób rezonować z jego własną pamięcią — tak jak gdyby weszła w jego nieznaną częstotliwość i korzystała z jego zdolności.

Pamięć świata znowu odsłoniła przed nim coś, czego nie potrafił jeszcze jednoznacznie zdefiniować. I jak zawsze — zrobiła to wtedy, gdy myślał, że wiele rozumie...

Pożegnał się z Larethe, prosząc ją jeszcze raz o dyskrecję. Przrzekła ją zachować z powagą, której jak zwykle się po niej nie spodziewał — mimo że zawsze ją miała.

Dzień mijał, a Erdene już po niego nie wezwała. Dostał godny obiad i kolację; wszystko jak w zegarku — tak, jakby nic szczególnego się dzisiaj nie wydarzyło w tym pałacu.

Wieczór spędził przy *Kronice Czaszek* i wytrawnym czerwonym winie. Strony szumiały cicho, a płomień w kominku odbijał się w karafce jak w oku żywego stworzenia.

Każdy kolejny łyk wina rozmywał mu granice między myślą a snem. Próbował skupić się na Yorin i innych towarzyszach, unikając przy tym smutku i tęsknoty. Nekono tego wieczoru nie dostał dodatkowej porcji jego rozpacz i ekscytacji. Rozmowa w wymiarze i zawziętość Dolorána dodały mu sił. Musiał pozostać wierny. Musiał wierzyć, że to przetrwa. Nie tylko dla siebie, ale dla niej...

Mimo że w każdej myśli Zephyra czały się popielate oczy Erdene.

WIĘCEJ O ZERYTHAR

Pamięć tego świata nie kończy się na ostatniej stronie. Zerythar trwa dalej.



zerythar.world

Mapy, glosariusz, materiały o świecie.

Uwaga dla Czytelnika

Zerythar: Pamięć Hezurkaroi to książka dla dorosłych odbiorców. Zawiera sceny drastycznej przemocy, wulgarny język, motywy manipulacji psychicznej i cielesnej oraz opisy nagości i sytuacji intymnych.

Zalecana dla czytelników od 18. roku życia.

© 2026 Wydawnictwo Memoro

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i za pomocą jakichkolwiek środków bez pisemnej zgody autora.

Proces twórczy obejmował wykorzystanie narzędzi wspomagających, w tym oprogramowania opartego na sztucznej inteligencji, m.in. do organizacji materiału, redakcji technicznej oraz tłumaczenia nazw na obce języki. Całość utworu, koncept, świat, fabuła i wnioski pozostają dziełem autora.